miesięcznik szczecińskich środowisk prawniczych cena 0,0 PLN ISSN 1732-8225

ingremio

nr 2 (34)
luty 2007

www.ingremio.org

zniewolony cumulusowym lataniem

ŁADOGA
RESTAURANT & HOTEL

KARNAWAŁOWY DANCING 17.02

MUZYKA NA ŻYWO

zagra zespół **„ARBAROSA”**

SPECJALNY BUFET - KONKURSY - PROMOCJE NAPOJÓW

szczegóły: www.ladoga.pl

Szczecin, ul. Jana z Kolna

tel. +48 (091) 434 57 00, e-mail: ladoga@ladoga.pl

www.ladoga.pl

Café 22

Kawiarnia na najwyższym poziomie…

W lutym

…Poczuj słodycz ukrytą w oryginalnym cieście…

MOONLIGHT…

…W błogi nastrój wprowadzi Cię…

magiczny TRUE LOVE…

…a w WALENTYNKI…

pomożemy Ci oczarować ukochaną osobę…

…romantyczny wieczór uświetni

zespół COMPADRES

Szczecin, Plac Rodła 8, www.cafe22.pl

Król w Szczecinie,

czyli jak prawnicy potrafią się bawić

Po długiej przerwie szczeciński Oddział Zrzeszenia Prawników Polskich reaktywował doroczny bal karnawałowy dla prawników. Nazwaliśmy go niezbyt oryginalnie „Balem Prawnika 2007", co nawiązywać miało do organizowanych swego czasu podobnych zabaw dla studentów prawa. Sam pomysł podsunęła nam sędzia Magdalena Ledworowska i nie ma co ukrywać, że powodzenie całej imprezy to wyłącznie niemal jej zasługa. Zastanawialiśmy się cały czas, czy ludzie „kupią" pomysł, wszak spore tradycje mają już korporacyjne bale adwokata, radcy prawnego czy sędziów zrzeszonych w „Iustitii", a większość ludzi, prawników nie wyłączając, rzadko zmienia upodobania. Usłyszeliśmy też trochę słów powątpiewających w skuteczność pomysłu; mnożono przyczyny, dla których nie warto brać udziału w takiej imprezie (osobiście rozbawiło mnie najbardziej twierdzenie, iż impreza jest podejrzana, bo... zbyt tania – i jak tu ludziom dogodzić?). Uznaliśmy więc, że jeśli uda się nam zebrać 70 osób, będziemy zadowoleni. Tymczasem zainteresowanie przerosło nasze oczekiwania...

W dniu 19 stycznia 2007 r. o godzinie 20.00 w gościnnych salach hotelu „Park" zjawiło się 130 przedstawicieli środowiska prawniczego naszego regionu z osobami towarzyszącymi i rozpoczęła się prawdziwie karnawałowa zabawa. Rozmieszczeni w sześciu pięknych salach mogliśmy spróbować specjałów hotelowej kuchni, a już niedługo później większość pojawiła się na sali tanecznej, gdzie zostali przywitani krótkim przemówieniem przez sekretarza zarządu oddziału ZPP w Szczecinie adw. Łucję Pożogę. Później była już tylko zabawa na parkiecie przy dźwiękach orkiestry zastępowanej co jakiś czas muzyką prezentowaną przez dj-a, przerywaną tylko zaproszeniami na kolejne ciepłe posiłki oraz występami „artystycznej niespodzianki", którą okazał się sam Król Muzyki – wiecznie żywy Elvis Presley. Początkowo nieco niemrawy i odbierany nieufnie, w końcu porwał balowiczów do tańca i wspólnej zabawy, a skończyło się to aż dwoma kolejnymi występami „idola". Przy stołach i w kuluarach zaś trwały długie rozmowy o wszystkim, wszak nie tylko prawem człowiek żyje.

Impreza wyraźnie nabrała rozpędu, na sali tanecznej spotkać można było rozbawionych niemal wszystkich uczestników balu, a niektórzy, jak sędzia M. Ledworowska i referendarz sądowy Wiesław Markowski zaprezentowali publicznie niemałe talenty wokalne. Dość powiedzieć, że jeszcze o 3 nad ranem naliczyć można było przeszło 50 roztańczonych osób, a najwytrwalsi pożegnali organizatorów po 5 rano.

Za ocenę imprezy (subiektywną oczywiście) niech posłuży fakt, że spora część naszych gości już wychodząc prosiła o rezerwację biletów na przyszły rok, w obawie czy dla wszystkich wystarczy miejsca. O to zaś, że i w kolejnym karnawale impreza taka się odbędzie, jestem spokojny, skoro już o 10 rano obudził mnie sms od nieocenionej Magdy Ledworowskiej z informacją, co zmienimy, żeby kolejny bal był dla wszystkich jeszcze bardziej atrakcyjny. Ci natomiast, którzy w Balu Prawnika 2007 udziału nie wzięli, niech po prostu żałują, bo zapewniam, że było warto!

sędzia Radosław Bielecki

in gremio

Miesięcznik szczecińskich środowisk prawniczych

www.ingremio.org

Wydawca:
Okręgowa Rada Adwokacka w Szczecinie,
ul. Narutowicza 3; 70-231 Szczecin

Redaktor Naczelny: adw. Roman Ossowski
roman.ossowski@ingremio.org

Redaguje: adw. Roman Ossowski z zespołem

Rada Programowa:

Zygmunt Chorzępa
Prezes Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Szczecinie

Marian Falco
Dziekan Okręgowej Izby Radców Prawnych w Szczecinie

Andrzej Gozdek
Dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Szczecinie

Tadeusz Haczkiewicz
Prezes Sądu Apelacyjnego w Szczecinie

Leszek Pietrakowski
Prezes Izby Notarialnej w Szczecinie

e-mail:
redakcja@ingremio.org

tel. 091 434 01 15

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów

Projekt i przygotowanie do druku: Artur Tokarski

Druk: Angraf, ul. Wojska Polskiego 43, Piła
tel. (067) 352 20 24

ISSN: 1732-8225; Nakład 2500 egzemplarzy

03 • Król w Szczecinie, czyli jak prawnicy potrafią się bawić
sędzia Radosław Bielecki

05 • Tymczasowe aresztowanie – ten sam kodeks, różne przepisy, cz.2
adw. Piotr Dobrołowicz

08 • Navigare necesse est
Mirosław Kido, prokurator Prokuratury Apelacyjnej w Gdańsku, do 10 lutego 2006 r. Prokurator Okręgowy w Słupsku

10 • Życie
adw. Dariusz Jan Babski

12 • A może jednak... mediacja
Franciszka Pisańska, radca prawny

15 • Zniewolony cumulusowym lataniem
dr Bolesław Fengler, kierownik Archiwum Sądowego w Szczecinie

20 • rozmowa z Panem sędzią Rafałem Lilą

22 • Zajęcie wynagrodzenia za pracę małżonka dłużnika w postępowaniu egzekucyjnym
Maciej Ławrynowicz. Sędzia Sądu Rejonowego w Szczecinie

26 • DECEMBER CASUS
Piotr Rybczyński, asystent w Katedrze Prawa Rzymskiego i Historii Doktryn Polityczno-Prawnych Wydziału Prawa i Administracji US

27 • Barnim II, Gryfita zhańbiony
Maciej Strączyński, przewodniczący III Wydz. Karnego Sądu Okręgowego w Szczecinie

30 • O realności niektórych fikcji i fikcyjności niektórych prawd
Dr Daniel Bogacz, Katedra Prawa Rzymskiego i Historii Doktryn Polityczno-Prawnych WPiA US

33 • Spór o model edukacji prawniczej
dr Iwona Wierzchowiecka, Katedra Historii Prawa, Wydział Prawa i Administracji US

34 • Obóz „Tiergarten”
Paweł Knap, IPN OBEP Szczecin

Z wizytą u prezydenta

W dniu 29 grudnia 2006 r. czteroosobowa delegacja szczecińskiego Zarządu Oddziału Zrzeszenia Prawników Polskich gościła w Urzędzie Miejskim w Szczecinie, gdzie spotkała się z nowowybranym prezydentem naszego miasta, radcą prawnym Piotrem Krzystkiem. Na ręce Pana prezydenta złożony został list gratulacyjny z okazji jego wyboru na tak eksponowane stanowisko wraz z życzeniami licznych sukcesów w dążeniu do rozwoju miasta (jego tekst „In Gremio” zamieściło już w poprzednim numerze).

W trakcie miłego, godzinnego spotkania wymieniono poglądy na temat rozwoju środowiska prawniczego w Szczecinie i możliwej na tym polu współpracy oddziału Zrzeszenia z Miastem, przede wszystkim przy organizowaniu imprez przeznaczonych dla prawników czy zapraszaniu do nas znaczących przedstawicieli teorii i praktyki prawniczej oraz osób piastujących wysokie stanowiska w organach państwowych i sądownictwie. Pan Prezydent zaprezentował również plany zarówno na najbliższe miesiące swojego urzędowania jak i wizję rozwoju Szczecina, która prezentuje się niezmiernie ciekawie i oby starczyło sił i środków na jej realizację. Na koniec spotkania złożone zostały wzajemne życzenia samych sukcesów w nowym roku i powodzenia w realizacji wszystkich zamierzonych przedsięwzięć. [ ]

sędzia Radosław Bielecki

Tymczasowe aresztowanie – ten sam kodeks, różne przepisy

cz. 2

[adw. Piotr Dobrołowicz]

Opisana w ostatnim numerze „In Gremio" przesłanka obawy matactwa pokazuje jak widoczne są różnice w interpretowaniu prawa przez sądy i przez autorów komentarzy. Analiza kolejnych przesłanek stosowania tymczasowego aresztowania bynajmniej nie wskazuje, iż mieliśmy do czynienia z ewenementem. Takich rozbieżności jest więcej. By to stwierdzić, wystarczy bliżej przyjrzeć się choćby obawie ucieczki lub ukrywania się.

Chyba ucieknie... albo się ukryje

Zgodnie z art. 258 § 1 pkt 1 k.p.k., tymczasowe aresztowanie może nastąpić, jeżeli zachodzi uzasadniona obawa ucieczki lub ukrywania się oskarżonego, zwłaszcza wtedy, gdy nie można ustalić jego tożsamości albo nie ma on w kraju stałego miejsca pobytu.

Znowu zatem mamy do czynienia z obawą. Ponownie z „uzasadnioną". Jak powinna wyglądać realizacja tej przesłanki wg komentatorów przedmiotu?

Zdaniem P. Hofmańskiego (cytowany już m.in. jego autorstwa Komentarz do k.p.k., Wydawnictwo C.H. Beck, 2005) „obawa ucieczki lub ukrywania się oskarżonego, jeśli nie znajduje zastosowania § 2, musi być udokumentowana dowodowo. Zachodzi ona wówczas, gdy istnieją podstawy do przyjęcia, że oskarżony zamierza opuścić miejsce zamieszkania lub stałe miejsce pobytu w celu uchylania się od wymiaru sprawiedliwości (por. bliżej R. A. Stefański, Uzasadniona obawa ucieczki; patrz również szerokie uwagi J. Izydorczyka, Stosowanie tymczasowego aresztowania, s. 118)". Pogląd ten, jak widać, nie jest odosobniony i znajduje odzwierciedlenie w innych pozycjach literatury.

Wspomniany autor podkreśla, iż kodeks „jedynie przykładowo wskazuje sytuacje, w których uprawnione jest przyjęcie, że zachodzi obawa ucieczki lub ukrywania się oskarżonego. Możliwe jest zatem przyjęcie, że obawa taka zachodzi, gdy oskarżony wcześniej przygotowywał się do ucieczki, lecz próba ta była udaremniona, względnie wcześniej już uchylał się od wymiaru sprawiedliwości, następnie natomiast znalazł się w dyspozycji organów ścigania".

Istotną kwestię porusza R. Stefański w przytaczanym już Komentarzu do kodeksu postępowania karnego (Wydawnictwo ABC, 1998), który stwierdza, iż „istnienia obawy ucieczki oskarżonego nie można uzasadniać grożącą mu za popełnione przestępstwo surową karą, chociaż może ona być silnym bodźcem do ucieczki lub ukrywania się. Słusznie podkreśla się, że im surowszą karą czyn jest zagrożony, tym większe jest prawdopodobieństwo ucieczki (K. Buchała: Podstawy stosowania..., NP 1957, nr 7-8, s. 56). Niemniej nie stanowi dostatecznego uzasadnienia, iż obawa taka rzeczywiście zachodzi. Przyjęcie takiego założenia prowadziłoby do oparcia się na domniemaniu uchylania się oskarżonego od wymiaru sprawiedliwości (A. Murzynowski: Areszt..., s. 18-19; idem: Tymczasowe aresztowanie i zatrzymanie..., RPEiS 1984, nr 3, s. 14; F. Rosengarten: Tymczasowe aresztowanie..., Pal. 1973, nr 9, s. 46; P. Hofmański: Konwencja..., s. 188). Byłaby to w istocie interpretacja rozszerzająca art. 258 § 1 pkt 1, niedopuszczalna ze względu na wyjątkowość instytucji tymczasowego aresztowania".

Autor ten zauważa, iż „trafnie podkreślano w uzasadnieniu projektu k.p.k. z 1928 r., że samo powołanie się na wysokość grożącej oskarżonemu kary nie wystarcza do uzasadnienia obawy ucieczki, gdyż nawet oskarżeni o ciężkie przestępstwa nie zawsze wykazują skłonność do ucieczki (Projekt ustawy postępowania

karnego przyjęty przez Komisję Kodyfikacyjną Rzeczypospolitej Polskiej 28 kwietnia 1926 r., s. 265-266)".

Niewątpliwie zatem i w przypadku tej przesłanki nie można stawiać hipotez, snuć domysłów. Zasadne jest jedynie oparcie stosowania tymczasowego aresztowania o występowanie rzeczywistych przykładów, które uzasadnią występowanie uzasadnionej obawy ukrywania się lub ucieczki.

Sąd zważył, co następuje

To jednak sądy, a nie autorzy komentarzy (z małymi wyjątkami), wydają orzeczenia. I dla nas mają one znacznie większe znaczenie. Przyjrzyjmy się zatem przykładowym interpretacjom tego przepisu w praktyce:

- „jedną z form utrudniania prawidłowego toku postępowania jest ukrywanie się i właśnie z tego typu sytuacją mamy do czynienia w niniejszej sprawie. To, że podejrzany dotychczas nie podjął działań w celu ukrywania się jest po prostu wynikiem skuteczności stosowania tymczasowego aresztowania. Ponadto w przypadku stosowania przez dłuższy okres czasu tymczasowego aresztowania nigdy, poza pojedynczymi przypadkami, nie można by mówić o obawie ukrywania się bo po prostu dana osoba nie ma realnych możliwości podjęcia tego typu działań. Nie świadczy to jednak o tym, że obawa ukrywania się podejrzanego nie występuje, a wręcz na mocy art. 258 § 2 kpk ustawodawca wyprowadził z mocy prawa domniemanie takiej obawy. Bez znaczenia jest tutaj fakt posiadania przez podejrzanego rodziny oraz jego niekaralność bo okoliczności te w żaden sposób nie wykluczają możliwości ukrywania się",

- „[...] zagrożenie surową karą uzasadnia zarówno obawę matactwa, jak i ukrywania się. Obawie tej nie przeczy dotychczasowa postawa podejrzanego, który po posiedzeniu Sądu [...] nie ukrywał się, gdyż w aktualnej sytuacji procesowej, gdy do wydania wyroku pozostało sporo czasu podejrzany realizuje obowiązki procesowe, jednak w obliczu grożącej mu kary może podjąć próby bezprawnego utrudniania postępowania"

- w powiązaniu z faktem, iż do tej pory nie zostali ujęci wszyscy sprawcy popełnionego wspólnie i w porozumieniu czynu rodzi uzasadnione podejrzenie, że przebywając na wolności może ona w bezprawny sposób utrudniać postępowanie karne [...], nie można wykluczyć, że podejmie inne kroki w celu uniknięcia odpowiedzialności np. w formie ucieczki lub ukrycia się",

- „w ocenie sądu już sam młody wiek oskarżonego i brak zobowiązań rodzinnych, majątkowych, zawodowych itp. sprawia, że obawa staje się realna, gdyż w takich okolicznościach decyzja o ukrywaniu się jest dużo łatwiejsza do podjęcia i realizacji",

- „przede wszystkim wskazać należy, iż podejrzany jest osobą wcześniej karaną, co mając na uwadze ustawowe zagrożenie surową karą pozbawienia wolności za zarzucane mu czyny, rodzi uzasadnioną obawę, iż będzie on utrudniał postępowanie poprzez podjęcie ucieczki lub ukrycia się w razie odstąpienia od stosowania wobec niego tymczasowego aresztowania",

- „fakt, że na samym początku postępowania karnego oskarżony przebywał poza granicami kraju czyni tę obawę [ukrywania się lub ucieczki] w pełni realną".

Porównanie nie wymaga dogłębnego komentarza. Cytowane fragmenty sądowych orzeczeń stoją w oczywistej sprzeczności z tezami komentarzy.

Szczególnie ciekawy jest pierwszy zacytowany przykład. Skutek tymczasowego aresztowania zastępuje przyczynę! Taki sposób argumentacji można wykorzystywać dowolnie do innych przesłanek. Nic nie stoi na przeszkodzie, by zasadnie twierdzić, że podejrzany nie podejmuje rzeczywistych prób matactwa, gdyż „chroni" go przed tym właśnie skuteczność stosowanego tymczasowego aresztowania. Konkluzja: dlatego należy je stosować.

Ciekawe także jest twierdzenie – moim zdaniem zupełnie nieuzasadnione - że ustawodawca w art. 258 § 2 k.p.k. „wyprowadza z mocy prawa domniemanie obawy ukrywania się podejrzanego". Po pierwsze, kodeks nic o żadnych „domniemaniach obawy" nie mówi, a po drugie, gdyby ustawodawca chciał w taki sposób nawiązać treść art. 258 § 2 k.p.k. do przepisu wskazanego w § 1, to uczyniłby to w sposób klarowny, wprost stanowiąc, iż uzasadniona obawa ucieczki lub ukrywania się zachodzi w przypadku, gdy oskarżonemu zarzuca się popełnienie zbrodni lub występku zagrożonego karą pozbawienia wolności, której górna granica wynosi co najmniej 8 lat, albo gdy sąd pierwszej instancji skazał go na karę pozbawienia wolności nie niższą niż 3 lata. Na błąd takiego rozumowania wskazuje zresztą przywołany wyżej pogląd R. Stefańskiego.

Kto ma rację?

Autorzy komentarzy nie tworzą wykładni legalnej, obowiązującej sędziów. To sądy, i tylko sądy, mają prawo do wiążącego interpretowania przepisów w praktyce. I to one, a nie autorzy komentarzy, biorą na siebie odpowiedzialność za stosowanie (lub nie) tymczasowego aresztowania.

Nie umniejsza to jednak zauważalnej, zasadniczej dysharmonii pomiędzy postępowaniem sądów w sprawach tymczasowego aresztowania, a rozstrzyganiem przez nie jakichkolwiek innych kwestii - dotyczących interpretacji pozostałych regulacji prawnych – przy okazji których orzecznictwo Sądu Najwyższego oraz dostępna literatura prawna są często powoływane.

Jeśli zgodzimy się, że powyższe uwagi nie są oderwane od rzeczywistości i są chociaż w części trafne, to należy zadać pytanie, dlaczego taki stan istnieje i jest de facto utrwalany przez kolejne pokolenia sędziów karnistów.

Uzasadnieniem dla istniejącego stanu rzeczy jest być może fakt, iż tymczasowe aresztowanie to jeden z najbardziej newralgicznych punktów postępowania karnego. Zastosowanie aresztowania (lub jego brak)

może w wyjątkowo istotny sposób wpłynąć na tok procesu. Jako że przepisy procedury nie są doskonałe, należy je - właśnie dla potrzeb postępowania – tak interpretować, by były przydatne.

Po co komu przepis o matactwie, który wymaga wykazania obawy „uzasadnionej", popartej konkretnymi przykładami. W 99% spraw, takich przykładów w praktyce nie sposób znaleźć. Z tym samym zjawiskiem będziemy mieć do czynienia przy ustalaniu, czy występuje „uzasadniona" obawa ukrywania się lub ucieczki.

Sądy zatem, uważając, iż tak rozumiane przepisy nie odpowiadają potrzebom procesu karnego, rozszerzają ich zakres, osiągając w konsekwencji ich realną, „uzasadnioną" przydatność.

Niewątpliwie jest to sposób na niedociągnięcia ustawodawcy, który nie zadbał o to, by można było stosować tymczasowe aresztowanie zawsze wtedy, gdy sądy mają ledwie odczucie, że pozostawienie podejrzanego na wolności wiązałoby się z mnożeniem przez niego przeszkód w należytym rozpoznaniu sprawy.

Mam jednak wątpliwości, czy sędziowie są uprawnieni do poprawiania ustawodawcy, szczególnie gdy rzecz dotyczy zasadniczego prawa każdego człowieka, jakim jest jego wolność. W tym przypadku to raczej ustawodawca winien, jeśli takie są społeczne potrzeby, obniżyć poprzeczkę kodeksową i umożliwić szersze stosowanie tymczasowego aresztowania, dodając - na przykład - iż wystarczy, by obawa była „prawdopodobna w świetle zasad doświadczenia życiowego".

Trendy

Przypatrując się praktyce sądowej w omawianym zakresie można dostrzec pewne trendy. Oto dwa z nich, które wydać się mogą szczególnie kontrowersyjne.

Pierwszy: Tymczasowe aresztowanie to tylko środek zapobiegawczy służący zabezpieczeniu prawidłowego toku postępowania. Nie ma powodów, by traktować tę czynność tak samo poważnie jak wymierzanie kar pozbawienia wolności.

Zgadzam się w tym przypadku w dużej mierze z autorami artykułu w „Polityce" (przytaczanego w pierwszej części artykułu), iż tymczasowe aresztowanie „to swoista tortura, człowiek wrzucony za kraty traci godność, nadzieję, a jego prawa do obrony często w praktyce nie istnieją". Nie istnieją, skoro ani aresztowany podejrzany, ani jego obrońca, nie mają dostępu do akt (co jest praktyką w każdym „większym" postępowaniu) i de facto pozostaje im czekać na to, co prokurator ustali.

Nie twierdzę, że jest to rozwiązanie z gruntu złe. Może jednak lepszy byłby wyraźny zapis w kodeksie, iż prawa podejrzanego w postępowaniu przygotowawczym są co do zasady ograniczone, a wyjątkiem jest sytuacja dostępu do akt. Taki zapis ustawowy (a niech nawet będzie i konstytucyjny) usankcjonowałby istniejącą praktykę, stwarzając przynajmniej czytelne zasady.

Nadto powinniśmy zdawać sobie sprawę, iż tymczasowe aresztowanie jest bardziej drastyczne i dolegliwe niż wykonanie samej kary pozbawienia wolności. Rygory tego pierwszego sprawiają, iż niektórzy aresztowani choćby już z tego względu, przy marnych szansach na wybronienie się, gotowi są jak najszybciej zakończyć postępowanie karne, by rozpocząć „odsiadkę". Postawmy się choćby przez chwilę w sytuacji tymczasowo aresztowanego, któremu w praktyce odmawia się przez pierwszy miesiąc stosowania tego środka widzeń z najbliższą rodziną. Potem zaś – co stanowi równie wielki cios w godność każdego człowieka - zgody na widzenie są zwykle wydawane „za pleksą". Ile jest z takich rozwiązań korzyści dla prokuratury – nie wiem, choć nie sądzę, by były zauważalne. Widzę natomiast, ile wyrządzają szkód w psychice aresztowanego, nie wspominając o jego rodzinie. Na marginesie - uważam, iż często prezentowany w takich sytuacjach brak najmniejszego zrozumienia i rygorystyczny formalizm ze strony prokuratora nie znajduje, mówiąc oględnie, żadnego racjonalnego uzasadnienia.

Drugi: Sąd decydując o stosowaniu tymczasowego aresztowania lub jego przedłużeniu nie rozpatruje sprawy tak wnikliwie, jak czyni to przy orzekaniu kary pozbawienia wolności, choć w każdym z tych przypadków chodzi przecież o jedną z najcenniejszych i najważniejszych wartości życia: wolność.

By sprawdzić, czy tak rzeczywiście jest, odpowiedzmy na inne pytanie. Jak długo trwają postępowania w przedmiocie rozpoznania wniosku o zastosowanie tymczasowego aresztowania? Krótko. Nawet wtedy, gdy akta sprawy liczą kilka, kilkanaście tomów, sąd potrafi rozpoznać sprawę w godzinę, czasami krócej. Z własnego doświadczenia wiem, iż na rzetelne zapoznanie się z materiałem dowodowym zebranym w kilku tomach potrzeba co najmniej kilku godzin, a nie kilkunastu, czy kilkudziesięciu minut. Czy nieprawdziwa jest zatem teza, że zdarzają się sytuacje, gdy sędziowie, decydując o stosowaniu tymczasowego aresztowania, nie znają dobrze akt sprawy?

Wszyscy mamy mało czasu

To jasne. Takie czasy. Dyżur aresztowy to jeden z „najmilszych" obowiązków, jakie trafiają się sędziom. A przecież nikt wtedy sędziów nie zwalnia z prowadzenia swoich spraw, których przecież w tym czasie nie ubywa. Teoretycznie wszyscy wiemy, iż brak czasu nie powinien wpływać na rzetelność w zapoznawaniu się ze sprawą i na sposób podejmowania i uzasadniania decyzji. Najprościej będzie, gdy każdy z nas (nie tylko sędziowie) odpowie sobie na pytanie, czy ta teoria jest realizowana w praktyce.

Nikt nie zakazuje myśleć

Myślą też dziennikarze „Polityki". Część wysnutych przez nich wniosków, przytaczanych w poprzednim numerze „In Gremio" trąci niestety absurdem i nie znajduje odzwierciedlenia w znanej mi praktyce sądowej. Czy to jednak nie same sądy dają autorom wspomnianego tekstu pretekst do snucia takich rozważań? [ ]

Suave mari magno turbantibus aequora ventis
E terra magnum alterius spectare laborem

Miło w czas burzy morskiej, gdy życia sam nie narażasz
Patrzeć z brzegu na trudy wichrem gnanego żeglarza

Lukrecjusz: „O naturze wszechrzeczy"

Navigare necesse est

Nieznośny dar wolności uruchomił polskie piekło. Konflikt w koalicji, podział w opozycji, kryzys w Kościele. Jazgot, potępieńcze swary, gęby jak ze złego snu. Wychynęły skądeś zastępy samozwańczych prokuratorów, sędziów, kohorty inkwizytorów i lustratorów. Groteskowe postaci zaludniły świat polityki, mediów, instytucji państwa. Deklaracje i akty strzeliste, że naprawa, że odnowa, sanacja i kuracja nijak się mają do coraz bardziej ponurej rzeczywistości. To oczywiście ocena subiektywna, chociaż coraz powszechniejsza w wielu środowiskach, biorąca się jednak z troski o kondycję i stan naszego kraju. Nie to jest jednak najgorsze – taka opresja to jeszcze nie koniec świata, może mieć walor oczyszczający, walor ozdrowieńczej katharsis. Najbardziej niepokoi mnie zjawisko tak zwanej " równi pochyłej", polegające na akceptacji zjawisk (i , niestety, indywiduów) jeszcze wczoraj nie do przyjęcia, dzisiaj już mieszczących się w granicach nowej normy. Przesuwanie się tej granicy, na naszych oczach, w naszym czasie historycznym musi budzić lęk o jutro. Gdzie wtedy będzie ta granica, jakie standardy będą obowiązywały, dokąd nas zaprowadzi ten chocholi taniec? *Quae fuerant vitia, mores sunt* – co było występkiem, staje się obyczajem. To prorocze słowa Seneki Młodszego. Piszę o tym, by dać świadectwo niezgody na rosnące faryzeuszostwo, fałszywie pojmowany pragmatyzm i jakże polskie przekonanie, że jakoś to będzie.

Dwa miesiące temu w „In Gremio" zamieściłem tekst o honorze i godności ludzkiej. Odzew był nadspodziewanie duży. Pisali i dzwonili do mnie ludzie z wyrazami solidarności, zachęcali do upominania się o elementarne wartości, do pielęgnowania spadku poprzedników. Mój tekst nie jest więc głosem wołającego na puszczy, sfrustrowanego, zgorzkniałego „wykształciucha", mamuta z poprzedniej epoki czy, jak to określa pewien dyrektor – „liberałka".

Jestem apolitycznym, a raczej „apartyjnym" prokuratorem, subordynowanym urzędnikiem państwowym, starającym się wykonywać swoje obowiązki jak najlepiej potrafię, ale to nie pozbawia mnie podmiotowości, prawa do zabierania głosu w sprawach publicznych, najżywiej dotyczących przyszłości mojego państwa, moich najbliższych i wreszcie mnie samego. Jestem pełnoprawnym obywatelem, któremu na sercu leży pomyślność ojczystego kraju, a moja krytyka dotyczy głównie zjawisk, a nie poszczególnych ludzi. Ze zgrozą obserwuję postępującą relatywizację pojęć i ocen – oto wieloletni więzień polityczny przedstawiany jest jako "zdrajca sprawy", bo "prowadził negocjacje z bezpieką", a były to urzędowe przesłuchania, natomiast wieloletni agent bezpieki to "ofiara", która poszła na współpracę pod wpływem „krzyków i wrzasków", a zwalcza tego nieledwie godnego szacunku męczennika publiczna telewizja kierowana przez „masona". Prawdziwi Polacy podnoszą rękę w hitlerowskim geście, prawdziwi katolicy urządzają gorszące widowisko w katedrze i burdy przed świątynią a prawdziwi mężczyźni mają być dumni „że jeszcze mogą", bez różnicy z kim i za co. Narasta i tężeje w życiu publicznym agresja i nietolerancja, a język publicznych wystąpień, których niesposób nazwać debatą, staje się coraz bardziej nienawistny. Budzi to moje najgorsze obawy, których niestety nie rozpraszają deklaracje o odnowie moralnej, płynące z ust sterników nawy państwowej.

Ale nie o tym piosenka, przynajmniej nie w głównym nurcie, bo oto autor dopłynął do nawy i zagadka tytułu zostanie wyjaśniona.

Morze. Odwieczny, groźny i nieskończenie piękny żywioł, prapoczątek wszelkiego życia, niezbadana tajemnica, wyzwanie dla ciekawych świata, cud natury opiewany i opisywany od tysiącleci, odkryty i ukochany przez antyk.

Kiedy odbijam od brzegu, zanurzam się w innym świecie, tak odmiennym, że prawie nierzeczywistym. Nagle przestają się liczyć te wszystkie rzeczy będące na lądzie przedmiotem pożądania, wyznacznikiem pozycji, statusu i miary człowieka. W obliczu tej potęgi stan konta jest bez znaczenia, podobnie jak przynależność organizacyjna, partyjna czy światopoglądowa. Raptem okazuje się, że znajomości w kręgach władzy są zupełnie nieprzydatne, a wujek biskup, czy kuzyn senator nie mogą tu niczego załatwić, no chyba że wytężoną modlitwą. Na nic dotychczasowe zasługi, krzyże, stopnie naukowe, wojskowe, korporacyjne. Notes z telefonami, książka adresowa, taktyczne sojusze z możnymi tamtego świata – w tym świecie nie działają, a protekcja nie sięga. Tak przydatne na suchym lądzie umiejętności jak mimikra, łatwość wykonywania politycznych wolt, kłamstwa bez zmrużenia oka, bezwzględność w niszczeniu innych, tu zdają się psu na budę. Morze bezlitośnie zweryfikuje tytanów tych dyscyplin.

Tu naprawdę liczą się tylko dwie rzeczy – umiejętności i hart ducha. Wszystko inne nie ma znaczenia. W tym świecie widać, jak fałszywe, złudne i umowne są tamte wartości. Tu spotyka się ludzi, których łączy nie wspólnota jakichś interesów, lecz wspólnota losu. Załoga jachtu to przecież grupa zapaleńców, którzy wzajemnie powierzyli sobie swoje życie. Kiedy jedna wachta czuwa na pokładzie, pozostałe odpoczywają. Spróbuj wyobrazić sobie drogi Czytelniku, że o 4 rano, po wyczerpującej wachcie nawigacyjnej, schodzisz pod pokład i usiłujesz zasnąć, mając dojmującą świadomość, że „na deku" są amatorzy, żeglarze bez kwalifikacji, lub nieroztropni, przypadkowi wycieczkowicze. To oczywiście niemożliwe. Nie zaśniesz, rzucisz się wpław do najbliższego brzegu. Musimy być jak

Mirosław Kido, prokurator Prokuratury Apelacyjnej w Gdańsku, do 10 lutego 2006 r. Prokurator Okręgowy w Słupsku

palce jednej ręki, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Błąd sternika, czy oficera wachtowego może kosztować życie całej załogi, a najbardziej bezbronni są ci, którzy śpią w kojach - w razie zderzenia lub wywrotki są praktycznie bez szans. Jakże odległe wydają się w obliczu majestatu oceanu „ziemskie" problemy, ten blichtr, cały ten zgiełk. Żeglarstwo pozwala nabrać dystansu do wszelkiej polityki, kuglarstwa i wyścigu szczurów (aż prosi się dodać – lądowych). Z morza lepiej widać marność egzystencji opartej na nieustannym zdobywaniu, wszelkimi środkami, przewag, dóbr i zaszczytów. To dość banalna prawda, atoli nie dla wszystkich oczywista.

Naturalnie żeglarstwo nie jest, bo nie może być, ucieczką, rozpaczliwym eskapizmem, ostatnią nadzieją rozbitków i szańcem czy raczej schronem dla rozczarowanych nicością ponurego „tu i teraz". To raczej świetna szkoła charakteru i wyborna terapia, w sam raz na trudne czasy, (choć właściwie czasy łatwe, a te dopiero przed nami, sprzyjające zgnuśnieniu i atrofii woli, wymagają jeszcze więcej hartu). Z morza trzeba zejść na ląd i żyć tak, by pospolitość ciszej skrzeczała.

Zamiast więc patrzeć z brzegu na trudy wichrem gnanego żeglarza, ruszaj w morze cny Czytelniku, weź się za bary ze swoją słabością, zmierz się ze swoim przeznaczeniem. Na zachętę – cytat:

„..Spięcie bladych błyskawic zatrzaskało dokoła, jak gdyby trysnęły w jaskini, w czarnym, tajemnym sanktuarium morza mającym, miast posadzki, kipiel z wrzących grzyw piany.

Na krótkie, ściskające serce mgnienie w ponurym świetle zamajaczyła masa postrzępionych chmur, zawisłych nisko, wydłużona sylwetka parowca w skoku, czarne postacie ludzi uwięzionych na pomoście, z głowami podanymi naprzód, jak gdyby skamienieli, bodąc niewidzialną ścianę. Dokoła zaś pulsowały ciemności. W owej to chwili nastąpiła rzecz straszna.

Było to coś przeraźliwego i momentalnego, jak rozbicie naczynia z wściekłością. Była to eksplozja dokoła okrętu z porażającym wstrząsem, z grzmotem, pędem wielkich wód, jak gdyby olbrzymia grobla po nawietrznej została wysadzona w powietrze. W okamgnieniu załoga została rozproszona. Taka jest rozbijająca potęga wielkiego wichru: oddziela, odrywa człowieka od jego bliźnich. Trzęsienie ziemi, osunięcie się góry, lawina, zaskoczywszy człowieka, niweczy go jakby przypadkowo, beznamiętnie. Wściekły wicher natomiast napada na człowieka jak osobisty nieprzyjaciel, chwyta go za bary, za ręce, nogi, poraża jego umysł, usiłuje wydmuchnąć zeń duszę...."

To „Tajfun" Conrada. Nie jestem pewien czy akurat ten cytat jest najwłaściwszy jako zachęta do żeglowania, ale nie mogłem się powstrzymać, taki jest urzekający. Muszę w takim razie jednak dodać, że zarówno załoga „Nan-Shana", jak i podróżujący nim chińscy kulisi, ocaleli.

Grecki filozof Zenon z Kationu, żyjący na przełomie IV i III w. p. n. e. w dziele „O naturze człowieka" napisał, że najwyższym celem jest żyć zgodnie z naturą, to znaczy żyć zgodnie z cnotą.

Nie ma już zaczarowanych statków Feaków, ostatnim popłynął do rodzinnej Itaki Odyseusz, ale i dzisiaj brygantyna pod żaglami zapiera dech w piersiach a szkuner sztakslowy czy rejowa fregata to już czysta magia. Gwizd wiatru w takielunku, skrzypienie brasowanych rej, odgłos stawianego spinakera, łopot przerzucanych żagli, uderzenia dziobu o fale i syk piany wodnej za rufą, to melodia, której się nie zapomina, która każe wracać na morze, śni się po nocach, magnetyzuje. Także Ty Czytelniku możesz zostać Argonautą i, pokonując lęk, mający źródło w rozpaczliwie niedocenianej i karygodnie zaniedbanej po wojnie tradycji morskiej, wyprawić się po swoje złote runo. Warto. *Vivere non est necesse.* [ ]

Życie

[Dariusz Jan Babski]
adwokat

Z okazji Dnia Dziecka Nienarodzonego – embrionowi w spirytusie

Kodeks cywilny (Dz. U z 1964 r. Nr 16, poz. 93 z jego 54 zmianami) nadaje każdemu człowiekowi zdolność prawną, czyli zdolność do bycia podmiotem stosunków cywilnoprawnych, ale dopiero z chwilą narodzin. (Każdy człowiek od chwili urodzenia ma zdolność prawną – art. 8 § 1 KC). Do czasu narodzin, a właściwie do czasu „urodzenia", jego zdolność prawna, ale tylko w zakresie prawa spadkowego jest zawieszona (dziecko w chwili otwarcia spadku już poczęte może być spadkobiercą, jeżeli urodzi się żywe – art. 927 § 2 KC). Tak więc od „urodzenia się" dziecka poczętego uzależniona jest jego zdolność do zostania spadkobiercą. Moment narodzin, ale nie każdych narodzin, bo tylko żywych, a więc tych, które pozwalają stwierdzić, że narodzona istota ludzka podejmuje samodzielne funkcje życiowe, a więc np. czynności w postaci oddychania, pozwala uznać daną istotę ludzką za podmiot prawa. Istota martwa, jak i istota nienarodzona: nie może być i nie jest podmiotem prawa. (Czyż płacz dziecka nie jest instynktowną formą obrony przed zaliczeniem go do płodów martwych?)

Wszystko jest w porządku, wszystko jest jasne, gdy dziecko urodzi się żywe. Wydaje z siebie oznaki życia. (Nie zawsze przypominają one zapach „Channel 19"). Ale jak chronić istotę poczętą, ale jeszcze nienarodzoną? Ci, którzy odmawiają takiej istocie podmiotowości prawnej, wydaje się, że popełniają błąd. Życie nie zaczyna się od momentu urodzin, ale momentu poczęcia. I z tą chwilą nabywa się, a w każdym razie powinno się nabywać podmiotowość. I to nie tylko na polu prawa cywilnego. Art. 18 Konstytucji RP (Dz. U. z 1997 r. Nr 78, poz. 483) stanowi, że Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej. (Podkreślenia pochodzą od autora wystąpienia). Zaś w art. 68 ust. 3 Konstytucji RP czytamy, że Władze publiczne są obowiązane do zapewnienia szczególnej opieki zdrowotnej dzieciom, kobietom ciężarnym, osobom niepełnosprawnym i osobom w podeszłym wieku. Konstytucyjnie więc, pod ochroną pozostaje „macierzyństwo", a szczególną opieką zdrowotną otaczane są „kobiety w ciąży". Czymże jest „macierzyństwo" i „ciąża" jak nie wyrazem przyznania poczętemu prawa podmiotowego. Nie może pozostawać pod ochroną „macierzyństwo", jeżeli nie fakt poczęcia nowego życia. Szczególna opieka zdrowotna „kobiet ciężarnych" dotyczy kobiet, które noszą poczętą w sobie istotę żywą. Nie ma „macierzyństwa", nie ma „kobiet w ciąży", gdyby nie fakt poczęcia nowego życia. W mojej ocenie, ustawodawstwo zwykłe powinno wprowadzić, a właściwie to przywrócić istniejące w okresie od 16 marca 1993 r. do 3 stycznia 1997 r., istniejące na wzór art. 927 § 2 KC, powszechne, a nie tylko na potrzeby spadkobrania, domniemanie, że dziecko poczęte, jeżeli urodziło się żywe, ma zdolność prawną od daty poczęcia.[1] Zwłaszcza, że art. 4461 KC stanowi, że Z chwilą urodzenia dziecko może żądać naprawienia szkód doznanych przed urodzeniem. Ochronie prawnej powinno podlegać całe życie. Od poczęcia do naturalnej śmierci.

Ustawa z dnia 7 stycznia 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży (Dz. U. z 1993 r. Nr 17, poz. 78 z jej 5 zmianami) w art. 1 stanowi, że Prawo do życia podlega ochronie, w tym również w fazie prenatalnej w granicach określonych w ustawie. Granice te wyznacza przede wszystkim art. 4a tejże ustawy. Wskazuje on, że przerwanie ciąży może być dokonane wyłącznie przez lekarza, w przypadku, gdy: 1) ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej, 2) badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazują na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu, 3) zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego[2]. W tych trzech przypadkach „przerwanie ciąży" może być dokonane. (Przypominam, że ustawodawca nałożył ów obowiązek wyłącznie na lekarza[3]). W tych trzech przypadkach przerwanie ciąży nie jest zabronione, jest dozwolone. Nie wdając się w pytanie o zasadność tych trzech przypadków, należy zadać sobie pytanie ogólniejsze, czy jesteśmy – my, jako podmioty prawa stanowionego, żyjący, świadomi swego życia, swego jestestwa – uprawnieni do „przerwania ciąży" w ogóle? Wszak każda ciąża stanowi zagrożenie dla życia i zdrowia kobiety ciężarnej. Wszak duże prawdopodobieństwo jest tylko

1) *Możliwy, acz realny i oczywisty spór o datę poczęcia nie powinien przesłaniać istoty problemu.* ***2)*** *Podane przypadki, jak się wydaje, nie mieszczą się w granicach działania art. 2 podpisanej przez RP Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności – Dz. U. z 1993 r. Nr 61, poz. 284 z jego 6 zmianami. Wskazany art. 2 stanowi, że: 1. Prawo każdego człowieka do życia jest chronione przez ustawę. Nikt nie może być umyślnie pozbawiony życia, wyjąwszy przypadki wykonania wyroku sądowego, skazującego za przestępstwo, za które ustawa przewiduje taką karę. 2. Pozbawienie życia nie będzie uznane za sprzeczne z tym artykułem, jeżeli nastąpi w wyniku bezwzględnie koniecznego użycia siły: a) w obronie jakiejkolwiek osoby przed bezprawną przemocą; b) w celu wykonania zgodnego z prawem zatrzymania lub uniemożliwienia ucieczki osobie pozbawionej wolności zgodnie z prawem, c) w działaniach podjętych zgodnie z prawem w celu stłumienia zamieszek lub powstania.* ***3)*** *Co do kwalifikacji osób mogących zostać lekarzem, proszę porównać ustawę z dnia 5 grudnia 1996 r. o zawodach lekarza i lekarza dentysty – tekst jednolity: Dz. U. z 2005 r. Nr 226, poz. 1943 z jego dwoma zmianami.* ***4)*** *Sam się zaliczam, przynajmniej do dzisiaj, tylko do: zdrowych.*

prawdopodobieństwem. Wszak „uzasadnione podejrzenie" to furtka dla nieuzasadnionych skrobanek.

Dajmy szansę jeszcze nienarodzonemu, aby sam zadecydował o swoim życiu!

A gdyby nawet ten, który został zaliczony do możliwych przypadków unicestwienia, np. ze względu na „uzasadnione podejrzenie", nie został unicestwiony, przeżył, lecz sam nie był w stanie tego zrobić, tego, tzn. samemu zadecydować o swoim życiu, chociażby z uwagi na nieodwracalne upośledzenie. Dajmy ludziom, którzy kochają innych, nie dlatego, że są tacy, jacy są, ale tylko dlatego, że są, możliwość opieki nad nimi. Świętej Teresy z Kalkuty (1910-1997), jak i setek, o ile nie tysięcy, jej podobnych, nie byłoby, nie byłoby chodzących świętości, gdyby nie było chromych, biednych, kalekich, opuszczonych. Wśród nas żyją ludzie, którzy są gotowi nieść pomoc innym. I to bezinteresownie. Dajmy i im szansę na samorealizację, świętość. (Zastanawiające jest to, że nie ma, o ile się nie mylę, osoby świętej, która w jakiś sposób nie poświęciła swojego życia dla dobra cudzego.)

Zresztą, kto chciałby zostać nienarodzonym? Ręka do góry!

Jeżeli nikt nie podniósł ręki, znaczy się, że ceni sobie bardziej życie nad śmiercią. Jakiekolwiek by owo życie nie było. Życie nie może być wartościowane przez pryzmat jakichkolwiek okoliczności. (Człowiek poczęty w wyniku czynu zabronionego nie ma świadomości swego początku. A gdyby nawet miał taką świadomość, to czy może ona stanowić jakąś gorszą miarę dla jego człowieczeństwa?) Człowiek sam powinien mieć możliwość oceny swojego życia: uznać je lub/albo potępić (W tym drugim przypadku: nie można zabraniać nikomu odebrać życia samemu sobie). Ustawodawca, tzw. zwykły ustawodawca, nie powinien dawać możliwości „przerywania ciąży", przerywania życia nienarodzonego, acz poczętego człowieka. Dając taką możliwość, ustawodawca wprowadza niebezpieczny precedens. Wartościując życie niedookreślonymi zwrotami („zagrożenie", „prawdopodobieństwo", „uzasadnione podejrzenie") przez sam fakt możliwości jego „przerwania", ustawodawca daje podstawy do przenoszenia, ekstrapolacji precedensu z „wieku prenatalnego" na „wiek gerontologiczny", względnie i na inne pola, gdzie „zagrożenie", „prawdopodobieństwo" i „uzasadnione podejrzanie" będzie przemawiać za przerwaniem, już nie ciąży, lecz pozbawieniem życia istot już urodzonych, acz „nie odpowiadających potrzebom społecznym". Jaką pewność może mieć ktokolwiek z nas, że nie zostanie – w świetle prawa – kiedyś zaliczony do kategorii nie mieszczących się w formule przydatności? Cóż wtedy? Jako nieproduktywny, stary, niedołężny fizycznie czy też psychicznie nie będę miał prawa do życia? A przecież nie zawsze będziemy „piękni i zdrowi"[4].

Życie jest tą wartością, która nie może być wartościowana. Ma wymiar absolutny. Wszystko, co posiada wartość, ma ją tylko w związku z życiem. Bez życia nie ma nic. Walczmy o nie. Do końca. Nie krzywdząc kogokolwiek, a w szczególności tych, którzy nie mogą się bronić przed śmiercią z ręki lekarza. Z ręki uzbrojonej w sterylną „łyżeczkę". [ ]

Szanowna Redakcjo,

Będąc lekarzem położnikiem-ginekologiem z 35-letnią praktyką nie mogę pozostać obojętną czytając artykuł p. D. J. Babskiego pt. „Życie" zamieszczony w bieżącym numerze In Gremio nr 34. Z demagogicznymi stwierdzeniami licznie zawartymi w artykule nie zamierzam dyskutować. Odniosę się tylko do jego tez w aspekcie ciężko chorej kobiety ciężarnej. Pan Babski pisze „...nie ma „macierzyństwa", nie ma „kobiet w ciąży", gdyby nie fakt poczęcia nowego życia". A ja powiem – nie ma macierzyństwa i kobiety w ciąży jeżeli nie ma KOBIETY! Niestety, niekiedy w medycynie istnieją sytuacje krańcowe, kiedy kończąc ciążę ratujemy życie kobiety. Życie matki kontra życie poczęte. Pamiętajmy, że życie zarodka, a potem płodu jest nierozerwalnie związane z życiem i zdrowiem ciężarnej i do pewnego momentu ciąży (25 tygodnia jej trwania) płód jest niezdolny do samodzielnego życia poza łonem matki. Są sytuacje, w których zdrowie matki nakazuje zakończyć ciążę w celu ratowania jej życia. Jeżeli tego nie zrobimy stracimy i matkę i zarodek lub płód przed osiągnięciem przez niego zdolności do samodzielnego życia. A więc, de facto, pozbawimy życia dwoje istot przez zaniechanie ratowania życia jednej z nich – matki.

Pan Babski zadaje pytanie: „Czy jesteśmy, jako podmioty prawa stanowionego (...) uprawnieni do przerywania ciąży w ogóle?" A ja zadam pytanie: Czy jesteśmy, jako podmioty prawa stanowionego, ale też stanowiący prawo, upoważnieni do decydowania o życiu lub śmierci ciężko chorej kobiety ciężarnej, dla której trwająca ciąża stanowi bezwzględne zagrożenie życia? Dlaczego większą „wartość" ma stanowić dla nas życie poczęte niż ŻYCIE? Czy społeczeństwo ma prawo skazywać na śmierć matkę, by ratować życie poczęte? Prawo do życia, również kobiety ciężarnej, musi podlegać ochronie.

Pan Babski pisze: „...walczymy o życie. Nie krzywdząc kogokolwiek, a w szczególności tych, którzy nie mogą się bronić przed śmiercią z ręki lekarza." Istniejąca ustawa pozwalająca na przerwanie ciąży, jeżeli „stanowi ona zagrożenie życia lub zdrowia kobiety ciężarnej", jest właśnie obroną życia – życia kobiety.

Ciężko chora, zagrożona śmiercią przez ciążę kobieta ciężarna i tylko ona powinna decydować o trwaniu lub przerwaniu ciąży. I prawo musi jej to umożliwiać.

Z poważaniem,
Dr n. med. Pegi Otrębska

P.S. Co do kwalifikacji osób mogących zostać lekarzami, wydaje mi się, że nie odbiegają one w sposób znaczący od kwalifikacji osób mających zostać prawnikami.

Dr n. med. Pegi Otrębska: *studia lekarskie ukończyła w 1972 roku w Pomorskiej Akademii Medycznej. I stopień specjalizacji w zakresie położnictwa i ginekologii uzyskała w 1976 roku, a II stopień w 1985 roku. Od 1973 roku rozpoczęła pracę w Klinice Patologii Ciąży i Porodu. Tytuł doktora nauk medycznych uzyskała w PAM w 1984 roku. Od 1995 roku pracuje w lecznictwie ambulatoryjnym. Dorobek naukowy to ok. 35 publikacji w fachowych czasopismach krajowych i zagranicznych o tematyce związanej z patologią ciąży, szczególnie zapobieganiem porodom przedwczesnym.*

Franciszka Pisańska
radca prawny

A może jednak... mediacja

W dniu 30 listopada 2006 r. uczestniczyłam w Międzynarodowej Konferencji na temat: „Mediacja Gospodarcza – nowe możliwości i wyzwania dla profesjonalnych prawników".

Organizatorami Konferencji byli: Krajowa Rada Radców Prawnych, European Company Lawyers Association (Europejskie Stowarzyszenie Doradców Prawnych Przedsiębiorstw - ECLA.), Kancelaria Wierzbowski Eversheds.

Prezes KRRP p. Zenon Klatka witając serdecznie zebranych, wskazał na zależność rozwoju mediacji, arbitrażu i innych pozasądowych form rozstrzygania sporów (ADR –Alternative Dispute Resolution) - od naszej wiedzy, uregulowań prawnych i wielu innych.

P. Bengt Gustafson – Prezes ECLA – największej europejskiej organizacji doradców prawnych, zrzeszającej ponad 2o.ooo prawników oraz 17 krajowych stowarzyszeń członkowskich (KRRP jest członkiem Stowarzyszenia od 2000 r.), przedstawił zebranym program działania ECLA.

Dr Christian Duve –od 2003 r. Przewodniczący Komitetu Arbitrażu i Alternatywnego Rozstrzygania Sporów przy Europejskiej Radzie Adwokatur i Stowarzyszeń Prawniczych (CCBE), od roku 2001 przewodniczy Komitetowi ds. rozstrzygania sporów przy Radzie Adwokackiej Niemiec (DAV). Tematem prezentacji p. Duve była „Mediacja w sprawach handlowych w Niemczech z jej zaletami i wadami".

Wg wykładowcy mediacja nie cieszyła się przez wiele lat w Niemczech popularnością, zainteresowanie uzyskała pod koniec lat 90-tych. Za alternatywą dla poszukiwania rozwiązywania sporów w tym trybie optują obecnie nie tylko prawnicy ale i klienci. Wskazuje na to tak ilość jak i wartość rozstrzygniętych dotychczas w tej formie sporów.

Mimo publikacji i organizowanych przez Niemiecką Izbę Adwokacką szkoleń, seminariów, konferencji itp. mediacja nie jest jeszcze w pełni uznaną instytucją m.in. brak jest zbiorczego zestawu przepisów regulujących tę problematykę. Jednakże w ocenie wykładowcy wyraźny wzrost popularności procedur ADR daje podstawę do twierdzenia, iż ta forma rozwiązywania sporów ma przed sobą przyszłość.

P. Michael Leathes doświadczony prawnik i negocjator, członek Komitetu Eksperckiego Rozwiązywania Sporów co do Własności Intelektualnej między Państwami przy Światowej Organizacji Własności Intelektualnej /WIPO/ w Genewie, wystąpił z wykładem „Strategia mediacyjna na przykładzie doświadczeń dużej korporacji międzynarodowej".

P. Leathes zainteresował uczestników nie tylko wiadomościami merytorycznymi ale także temperamentem, ekspresją i dowcipem. Mówił o świecie prawnym pełnym niepewności i prawnikach mających pomóc aby sytuacja niepewności zamieniała się w sytuację pewną za pośrednictwem mediacji. Z przedstawionych przez p. Leathesa badań wynika, że 14% - respondentów uważa, że mediacja propaguje dobre praktyki wewnętrzne, 17% że obniża koszty, 69% że ogranicza eskalację sporu.

W rezultacie polityka rozstrzygania sporów drogą mediacji przyniosła oszczędności 86% respondentów.

P. Eileen Carroll – Zastępca Prezesa i współzałożyciela centrum mediacji – Centrum Efektywnego Rozstrzygania Sporów w Wielkiej Brytanii podzieliła się z uczestnikami uwagami nad rozwojem mediacji, prezentując temat „Mediacja w obrocie gospodarczym w Wielkiej Brytanii". Zaznaczyła przy tym, że w W. Brytanii mediacji nie prowadzi się w sprawach rodzinnych za wyjątkiem spraw spadkowych. Zachęcała do popularyzacji mediacji i sposobu jej propagowania poprzez badania. Ma nadzieję, że w Polsce mediacja rozwinie się. Należałoby jednak szybko zmieniać mentalność ludzi, sądów, sędziów itd.

Prawnicy powinni się szkolić i korzystać z mediacji, gdyż nie tylko obniża to koszty sporu i skraca czas rozwiązania problemu ale „jeśli korporacja dobrze działa to na tym nie traci". W Londynie w szkoleniach z zakresu mediacji uczestniczą nie tylko mediatorzy ale i klienci.

W trakcie ponownego wystąpienia p. Gustafson nawiązał do dobrego klimatu, kultury i długiej tradycji w rozwiązywaniu sporów w Szwecji .Wprawdzie nie dysponował bazą danych co do efektów mediacji w Szwecji ale niewątpliwie jego zdaniem instytucja ta działa dobrze. Na stronach internetowych większych spółek można pozyskać informacje o korzystaniu przez nie z mediacji i rozstrzyganiu sporów w tym trybie, natomiast kpc w Szwecji zawiera klauzulę, że sąd musi zaproponować stronom ugodę.

P. Paul de Jonge – Prawnik, współzałożyciel Holenderskiego Centrum dla Biznesu ACB Mediation, członek Holenderskiej Rady Prawników Przedsiębiorstw – NGB i Holenderskiego Insty-

rys. Arkadiusz Krupa (Sędzia Sądu Rejonowego w Goleniowie)

Jak pięknie spadło oprocentowanie!

Citibank Handlowy specjalizuje się w tworzeniu propozycji kredytowej precyzyjnie dopasowanej do potrzeb wybranych grup zawodowych. Mamy duże doświadczenie w tym zakresie. Kredyt Citibank udzielany jest bez poręczycieli i zabezpieczeń, bez opłat za rozpatrzenie wniosku, na dowolny cel.

Skorzystaj z Kredytu Citibank

Oprocentowanie kredytu niższe niż w ofercie standardowej – już od 8,95%*

Kwota kredytu netto (zł)	Oprocentowanie nominalne**
1 000 - 19 999	15,95%
20 000 - 49 999	13,95%
50 000 - 80 000	11,95%
80 001 - 120 000	8,95%

Przykładowa kalkulacja wysokości rat kredytu, uwzględniająca kapitał, odsetki i prowizję za przyznanie kredytu

Kwota kredytu (zł)	Okres spłaty i wysokość rat			
	5 lat	4 lata	3 lata	2 lata
15 000[1)]	383	446	553	771
45 000[2)]	1 098	1 290	1 614	2 267
80 000[3)]	1 849	2 189	2 761	3 915
100 000[4)]	2 136	2 561	3 273	4 703

Przyjdź do oddziału Citibank Handlowy lub zadzwoń i umów się w wybranym przez siebie miejscu i czasie z Przedstawicielem Banku

Szczecin, Pl. Rodła 8 – budynek Pazimu, tel. (091) 359 44 80

Marcin Wasilewski – tel (091) 359 44 76, tel. kom. 0 605 78 08 63
Monika Ordon-Walkowiak – tel. (091) 359 44 20, tel. kom. 0 697 08 05 84
Tomasz Jabłoński – tel. (091) 359 44 88, tel. kom. 0 697 08 06 91

www.online.citibank.pl

citibank handlowy

*Roczne oprocentowanie nominalne, oprocentowanie rzeczywiste od 10,73% w skali roku, przy założeniu, że Kredytobiorca jest przedstawicielem wolnego zawodu lub Kredytobiorca jest zatrudniony w firmie współpracującej z Bankiem w ramach Citibank at Work oraz posiada Konto Osobiste Citibank i przelewa na konto swoje wynagrodzenie.

**Roczne oprocentowanie rzeczywiste kredytu dla podanych w tabeli okresów spłaty 5, 4, 3 i 2 lat wynosi odpowiednio: 1) 19,86%; 20,37%; 21,24%; 23,18% 2) 17,41%; 17,96%; 18,89%; 20,67%; 3) 14,59%; 15,02%; 15,72%; 17,17%; 4) 10,73%; 11,04%; 11,55%; 12,58%. Istnieje możliwość ubezpieczenia kredytu. Bank może odmówić udzielenia kredytu bez podania przyczyny. W szczególnych przypadkach może zażądać dodatkowych dokumentów. Niniejsza ulotka nie jest ofertą w rozumieniu artykułu 66 §1 Kodeksu cywilnego.

Bank Handlowy w Warszawie S.A.; Sektor Bankowości Detalicznej; ul. Goleszowska 6; 01-249 Warszawa.

tutu Mediacji, mówił o „Mediacji pod auspicjami Sądu w Holandii".

W Holandii najchętniej dochodzi się roszczeń na drodze pozasądowej, również w sprawach karnych.

To pozytywne nastawienie do zawierania ugód zmniejsza „tłok" w sądach, a sędziowie mogą skupić się na sprawach nierokujących rozstrzygnięcia na drodze pozasądowej. W mediacji uczestniczą również obok prawników także eksperci techniczni. Mediator określony europejską normą certyfikacji po egzaminach, ujęty w rejestrze akredytowanych mediatorów otrzymuje wynagrodzenie wg określonych w rejestrze stawek. Wykładowca zachęcał do zamieszczania w kontraktach klauzuli o poddawaniu ewentualnych sporów mediacji, zwłaszcza, że koszty arbitrażu międzynarodowego są duże.

V-ce Prezes KRRP p. Bobrowicz informacyjnie nadmienił , iż w Polsce od kilku lat mediacja stosowana jest również w sprawach karnych i przynosi efekty. Działa nadto w Polsce Społeczna Rada ds. Mediacji. Natomiast w obowiązujących przepisach brak jest wymogów dla mediatorów ale w jego ocenie pozwala to na otwarcie drogi wszystkim mającym chęć do działania w tym zakresie.

P. Robert Smith – adwokat amerykański i światowej sławy mediator z ponad 20-letnim doświadczeniem, m.in. jako starszy radca w Bank of America, mediator Instytutu Mediacji Bankowej i Finansowej w Nowym Yorku, Centrum Mediacji i Arbitrażu w Hongkongu, były Doradca Prokuratora Generalnego USA w graficzny sposób przedstawił sesję mediacyjną, zawierającą między innymi takie elementy jak spotkania wstępne z klientem, wspólne spotkania stron, spotkania oddzielne stron z mediatorem, ustalenie kwestii spornych, „targowanie", dochodzenie do wspólnego stanowiska i oczywiście - jak to określił - „kasę". To typowa jego zdaniem praktyka amerykańska, możliwa do przeniesienia na każdy grunt.

Na temat: „Rola radcy prawnego w procesie mediacji" ponownie swoje uwagi przedstawił p. dr Duve. Podkreślił on rolę prawnika w tym procesie, jego bezstronność przy zapoznawaniu się z materiałami i faktami (bez ich oceny przy relacjonowaniu przez strony bądź ich pełnomocnika). Zwrócił uwagę na dobre przygotowanie się do mediacji, łagodzenie nieporozumień stron bez emocjonalnego zaangażowania i zachowywania się mediatora „jak w sądzie", racjonalnego wykorzystywania elementów prawnych w kolejnych etapach mediacji, słuchania stron bez poczucia straconego czasu, zwracania większej i merytorycznej uwagi na kwestie kluczowe, wyważonej interwencji w sprawach o dużym natężeniu emocjonalnym.

Wspomniane cechy mediatora zjednują bowiem zaufanie ze strony klientów wobec prawników.

P. E. Carroll uzupełniając wykład p. Duve swoim tematem „Radca prawny w mediacji: Przygotowanie" zaznaczyła, iż najtrudniejsze negocjacje to takie, w których ludzie ryzykują życiem np. sprawa zakładników.

Zasadą zaś w każdej mediacji jest nieustanne i aktywne słuchanie. Nieprzestrzeganie tej zasady prowadzi do sytuacji b. trudnych. Zadaniem mediatora jest więc naprowadzanie stron , wyciszanie emocji, aktywne wsłuchiwanie się w ich prezentację aż do momentu pokrywania się argumentów stron i doprowadzanie do łagodnego wyniku mediacji. Nie jest to oczywiście proste, bowiem każdy klient ma w swojej sprawie inne zaangażowanie emocjonalne, psychologiczne, techniczne itp. Ale mediator musi być przygotowanym na takie fakty. Mediator powinien przygotować strategię i plan mediacji z określeniem czasu na zapoznanie się z materiałami, czasu na wymianę informacji między stronami, zakresu poufności, wyznaczenia terminu negocjacji oraz podsumowania (nawet gdy nie doszło do ugody).

P. Smith ponownie odniósł się do takich zagadnień mediacji jak styl ,wspólny język ,przewidywane ryzyko, sztuka zapisów, itp. jak też stwierdził „iż wszyscy są więźniami swojego doświadczenia i wykonywanego zawodu". Wg mówcy prawnicy, których rola w takich procesach polega na naprawianiu szkód mogą dokonywać tego czego nie mogą inni. Jego zdaniem w mediacji możliwe jest każde rozwiązanie: twórcze i szalone pomysły, dopasowane do sytuacji, dowolne ustalenia, a w rezultacie doprowadzenie do tego aby nikt nie czuł się przegranym. Możliwość powiedzenia klientowi o braku spętania zasadami, wyobraźnia, wiedza, doświadczenie prowadzą do satysfakcjonującego rezultatu. Trzeba jednak mieć wizję tej mediacji, przygotować projekt ugody na bazie dokumentu, co jest atutem w sprawie, odbyć próbę generalną jak dotrzeć do stron i jak je przekonać. Jednym słowem przygotować się jak do występu w sądzie.

W dyskusji panelowej pytania uczestników dotyczyły: celowości powołania europejskiej instytucji mediacyjnej, sposobów przygotowania się do mediacji w sytuacji gdy programy polskich uczelni nie obejmują tego zagadnienia, stosowania zachęty do zajęcia się tym zagadnieniem, nauki mediowania, rozwiązania problemu kojarzenia prawnika jako zdrajcy w przypadku zaproponowania klientowi ugody, obowiązku prawników do informowania klientów o mediacji.

Na wszystkie pytania udzielane były rzeczowe i bardzo konkretne odpowiedzi. Uznano za dobry pomysł powołanie europejskiej instytucji mediacyjnej. Fakt działania dotychczas innych organizacji zajmujących się mediacją nie jest przeszkodą a współpraca i wymiana poglądów jest wskazana.

Należałoby nadto zainteresować tematem uczelnie przy czym nie tylko wydziały prawa ale również politologii, socjologii oraz objąć badaniami w tym zakresie ośrodki akademickie. Wskazanym byłoby także powołanie centrów analitycznych pozwalających na podstawie badań zmieniać kulturę mediacji oraz szerzyć wiedzę poprzez szkolenia i edukację, niezależnie od nauki mediowania za pośrednictwem mediatorów praktyków oraz dużej w tej mierze ilości publikacji.

Ta forma pozyskiwania informacji na temat mediacji, szkolenia organizowane przez środowiska prawnicze, seminaria, publikacje są więc dobrą formą popularyzowania tej instytucji i dają nadzieję na jej szybki rozwój w kraju. [ ]

Uwagi autorki: relacja z Konferencji oparta jest na bezpośrednim tłumaczeniu z języka angielskiego na język polski, a dane dotyczące wykładowców pochodzą z doręczonych materiałów konferencyjnych.

dr Bolesław Fengler, kierownik Archiwum Sądowego w Szczecinie

Zniewolony cumulusowym lataniem

Przyznać muszę, że właściwie od zawsze byłem zadżumiony lotnictwem; początkowo, w wieku przedszkolnym, uwagę moją skupiały przelatujące wysoko samoloty. Wystarczało bowiem, że w trakcie meczu „w nogę", pomimo, iż byłem „żelaznym" bramkarzem, gdy tylko do moich uszu zaczął dochodzić słaby jeszcze odgłos lotniczego silnika, natychmiast – mimo wielkiej irytacji kolegów z drużyny – zamieniałem się w przysłowiowy słup soli i stojąc z wysoko zadartą głową wypatrywałem na niebie sylwetki samolotu, a gdy ją już „namierzyłem" wzrokiem, to tylko jego zniknięcie za horyzontem pozwalało mi powrócić do gry. Wówczas najczęściej miałem już w bramce sublokatora w postaci wstrzelonej doń piłki. Za tolerowanie mojego gapienia się w niebo, niejako z dużą ulgą i wdzięcznością, przyjmowałem od kolegów wszelkie mało wybredne uwagi, a nierzadko liczne solidne „pstryczki" w ucho. Ponieważ z upływem czasu, moje pro-lotnicze, egoistyczne zachowania w stosunku do kolegów bardzo się nasiliły, byłem przez nich zaledwie tolerowany jako kumpel. Obdarzając mnie przy tym lekceważącym – w ich przeświadczeniu – przezwiskiem „wrona", trochę mi w istocie tylko dokuczyli, nieświadomie poprawiając moje samopoczucie, jako że do tego czasu – z racji mojej ognistej czupryny – wołali na mnie „rudy". Tak to już od samych początków mojego miłowania lotnictwa ono odpłaciło mi się nawet całkiem ładnie. Wolałbym wówczas, aby w miejsce owej „wrony" wołano na mnie „orzeł', ale co tam – myślałem sobie wówczas: ja wam jeszcze kiedyś pokażę „wronę". No i jednocześnie pocieszenie dla mnie stanowiła świadomość, iż wrona wroną, ale też lata. Tak więc mając już lat około dziesięciu zazdrościłem tego latania wszystkiemu, co przemieszczało się w powietrzu, chyba także nawet liściom opadającym z drzew. Nikomu z bliskich nie pozwalałem zabić muchy, ani komara nawet podczas „tankowania" na ludzkiej skórze. Właśnie w owym czasie, a był to rok 1952, w moim rodzinnym mieście Lesznie powstały równocześnie: Aeroklub Leszczyński oraz Centralna Szkoła Szybowcowa Aeroklubu Polskiego (przeniesiona tam z lotniska w Rzadkowie). Od tego czasu rokrocznie – poczynając od wczesnej wiosny do późnej jesieni – niebo nad moim miastem rozkwitało „latającymi orchideami"; tak bowiem – z nieskrywanym uniesieniem – nazywano szybowce. Właściwie był to nieustający ich taniec na tle leszczyńskiego, błękitnego nieba udekorowanego pięknymi cumulusowymi chmurkami – „ptysiami" – zwanymi fachowo cumulus humilis (inaczej: „chmury pięknej pogody"). Wówczas, przyznaję się, opanował moją głowę lotniczy amok. W klasach szkolnych obowiązkowo siedziałem zawsze przy oknie; podczas przerw przymuszałem koleżanki jak i kolegów do rozpoznawania sylwetek krążących nad nami szybowców „w kominach termicznych" (w strefach pionowych prądów wznoszących powietrza); wskazywałem różnice pomiędzy szybowcami: „Mucha", „Jaskółka" czy „Bocian" oraz jednocześnie dziwiłem się wyraźnemu oporowi do poprawnego postrzegania z ich strony tych „oczywistych", według mojego rozumowania, różnic. Wiosną 1961roku, będąc w trzeciej klasie Liceum Ogólnokształcącego im. Amosa Komeńskiego, kiedy cała moja klasa udała się na wagary, udało mi się namówić wszystkich, aby – zamiast do wcześniej zaplanowanego lasu – udać się na skraj lotniska, skąd podziwiać mogliśmy starty i lądowania szybowców oraz samolotów okraszane moim komentarzem. Po prawdzie nie cała klasa upajała się tymi lotniczymi ewolucjami równie długo i mocno, jak ja i kilkoro jeszcze innych uczniów. Przynajmniej połowa „wiary" zatęskniła jednak za lasem, do którego było bardzo daleko. Kiedy po kilkudziesięciu latach uczestniczyłem w kolejnym spotkaniu klasowym, co niektórzy

fot. Janusz Szczupak

z koleżeństwa – wspominając owe „lotniskowe" wagary – wypominali mi, oczywiście w konwencji żartu, iż być może: „przez to moje lotnisko weszli w dorosłość z opóźnieniem". Ripostując złożyłem wszystkim, uważającym się wówczas za potencjalnych „poszkodowanych" obietnicę, że podczas kolejnego spotkania zrekompensuję im to przewożąc ich samolotem nad tym lasem niespełnionych wagarów.

Powracając do tematyki lotniczej nie sposób pominąć faktu, że w tym właśnie 1961 roku ziściły się moje sny o lataniu. Wiosną przeszedłem pomyślnie teoretyczny kurs szybowcowy oraz badania w Głównym Ośrodku Lotniczo-Lekarskim we Wrocławiu, a następnie zostałem skierowany na naukę szybowcowego latania do Szkoły Szybowcowej w Lęborku. Szkolenie przebiegało bardzo intensywnie. Podstawowe tajniki pilotażu nabywaliśmy dzięki upartym w wysiłkach szkoleniowych instruktorom szybowcowym, na specjalnie skonstruowanym szybowcu dwumiejscowym „Czapla". Najbardziej, spośród wszystkich moich ponad 7 tys. dotychczas wykonanych lotów, pamiętam jeden – ten pierwszy.

Po założeniu spadochronu zająłem przednie miejsce w kabinie, zapiąłem pasy i zgłosiłem – podnosząc w górę lewa dłoń – gotowość do startu. Po chwili lina wyciągarki naprężyła się, po czym szybowiec ruszył wyraźnie przyspieszając, a po kilku sekundach dziób szybowca zadarł się ponad linię horyzontu – szybowiec zaczął się coraz to szybciej wznosić zdecydowanie w górę. Po kilkunastu sekundach wyczepiona została lina od szybowca i znalazłem się w powietrzu. Szybowiec natychmiast przeszedł do spokojnego lotu ślizgowego po linii prostej. Wówczas zadarty dotychczas w trakcie wznoszenia dziób „Czapli" wyraźnie obniżył swoje położenie, a moim oczom ukazał się bajkowy świat. Spojrzałem w dół na mieniące się wszystkimi barwami lata szachownice pól i łąk poprzecinanych jaśniejszymi liniami dróg i błękitnymi wstążkami rzek oraz strumyków, zmierzających do przedziwnych luster wodnych – do jezior. Była połowa lipca, a więc w dole coraz bardziej zauważalne było krzątanie się maszyn żniwnych po pozłacanych polach. Pomyślałem sobie wówczas: „świat jest naprawdę piękny". Byłem tym widokiem bardzo zauroczony. Byłem szczęśliwy. Instruktor po kilkunastu sekundach lotu przywołał mnie jednak do spokojniejszego oglądania przemieszczającej się pod kabiną szybowca ziemi, ukierunkowując moją uwagę na szczególnie godnych zapamiętania obiektach na ziemi. Po kilku minutach mój pierwszy, zapoznawczy lot zakończył się wyczuwalnym szurnięciem płozy szybowca o murawę lotniska. Po chwili szybowiec stanął, a duży płat skrzydła leniwie zaczął się pochylać, dotknąwszy w końcu ziemi, co oznaczało zakończenie lotu. Szybowiec szkolny „Czapla" był bardzo duży, ciężki, ale za to wytrzymały na czynione przez uczniów-pilotów uporczywe próby uszkodzenia go podczas nauki „przyziemiania'. „Wyrozumiałość" tego szybowca mogłem zresztą już poznać w trakcie moich pierwszych prób szybowania w górze „w locie po prostej", którą to prosta linia lotu była li tylko z nazwy, bowiem faktycznie „Czapla" dzięki moim „staraniom" wyczyniała „istne kwargle". Kiedy już bowiem dochodziłem do przekonania, że ta latająca dzika bestia na pewno musi mieć zepsute stery, wówczas to mój instruktor – Julan Ziobro – tubalnym głosem polecił mi: „Puścić stery". Gdy to uczyniłem, oczekiwałem najgorszego, tymczasem „Czapla", jakby z ulgą odetchnęła,

przestała skrzypieć, wierzgać i rwać się na wszystkie świata strony, spokojnie sama ustaliła szybowanie po idealnie prostej linii. Od tego czasu wiedziałem, że nie tylko mój instruktor, ale i moja „Czapla" uczą mnie latać po społu. Poczciwa „Czapla"; chociaż po niej miałem sposobność szybować na kilkudziesięciu innych typach szybowców to i tak wiem, że ją ukochałem najbardziej. Po ukończeniu nauki latania, w tym wykonania kilkudziesięciu lotów samodzielnych, powróciłem do domu już jako pilot szybowcowy III-ej klasy z „trzema mewkami" w klapie marynarki. Koledzy z mojej ulicy ciekawi byli mojej podniebnej przygody, która właściwie, tak naprawdę dopiero się rozpoczynała. Leszno od samego początku istnienia było już wówczas nazywane „Mekką" dla pilotów z całego świata; poczynając od 1954 r. rozgrywane były tam często szybowcowe mistrzostwa Polski , Europy i Świata. Miałem zatem sposobność poznać na leszczyńskim lotnisku wielu czołowych szybowników zarówno polskich, jak i z całego Świata. Przez kolejne dziesięciolecia starałem się, w miarę posiadanego wolnego czasu od pracy zawodowej, poznawać i udoskonalać kolejne szczeble i tajniki latania. Chociaż po dzisiejszy dzień największą frajdę sprawia mi latanie szybowcowe, to także wiele miłych chwil lotniczych spędziłem za sterami samolotów sportowych oraz w koszu balonu. Znakomitą większość lotów samolotowych wykonałem holując szybowce; poznałem także smak „wyrzucania" skoczków spadochronowych. Powracając do szybowców należy podkreślić, iż ukoronowaniem nauki szybowcowego latania jest nabycie umiejętności wykonywania przelotów szybowcowych po wyznaczonych trasach „otwartych" (miejsce lądowania znajduje się poza miejscem startu) i „zamkniętych" (szybowiec po przeleceniu trasy kończy lot w miejscu startu). Zazwyczaj jednorazowo przelatuje się od kilkudziesięciu do kilkuset kilometrów, chociaż rekord świata wynosi ponad 2 tys. km. Podczas takich wysoko-wyczynowych przelotów szybowce osiągają pułapy lotów dochodzące do 5 tys., a średnie prędkości przelotowe dochodzą nawet do 200 km/godz., przy czym szybowiec może osiągać maksymalną prędkość nawet 300 km/godz. W moim szybowcowym lataniu na różnych przelotach „zaliczyłem" ponad 11 tys. km. Każdy przelot szybowcowy jest odmienny i właściwie niepowtarzalny. Szczególne doznania gwarantują sytuacje, w których pilot, po stwierdzeniu zaistnienia sytuacji uniemożliwiającej mu kontynuowanie dalszego lotu, zmuszony jest do lądowania w tzw. „terenie przygodnym", czyli dosłownie w polu, na łące, na niskiej uprawie, bądź na ściernisku. Najczęściej powodem lądowania w terenie jest zanik występowania „noszeń", tj. zniknięcie prądów wznoszących powietrza (m.in. tzw. „kominów"). Moje przeloty szybowcowe kilkadziesiąt razy kończyły się właśnie takimi przymusowymi lądowaniami „w polu" oddalonym zazwyczaj o kilkadziesiąt lub nawet ponad 100 km od miejsca startu. Lądowanie takie rodziło wiele wyzwań – należało mianowicie m.in. powiadomić „swoje" lotnisko o miejscu wylądowania, o stanie szybowca, o możliwym sposobie powrotu na lotnisko (start z pola za samolotem, bądź na wózku transportowym z rozmontowanym szybowcem). Nierzadko występował problem znacznego oddalenia od ludzkich siedlisk i dróg, brak zasięgu radiostacji, pomijając już brak żywności czy też „ciepłego ubrania" na wypadek konieczności spędzenia nocy „w polu". Większość moich lądowań w terenie przygodnym miała swój szczęśliwy finał, przeplatany nierzadko rozweselającymi sytuacjami. Wykonując kilkanaście lat temu przelot na szybowcu Jantar Standard – 3, po trasie zamkniętej (tzw. docel - powrót) liczącej 320 km Leszno – Inowrocław – Leszno, gdy powracałem już znad lotniska inowrocławskiego do Leszna stwierdziłem zanik występowania prądów wznoszących powietrza i po kilkunastu minutach lotu znalazłem się na wysokości 300 m w okolicy miasteczka Witkowo k. Gniezna. Wybrałem na miejsce lądowania bardzo duże ściernisko, po którym na ukos jeździł z dużą prędkością traktor ze zgrabiarką. Lądując (pod wiatr i ze słońcem „w ogon" szybowca), tak wybrałem moment i miejsce przyziemienia, aby traktor znajdował się przed przeciwnym skrajem ścierniska. Po 200 m dobiegu szybowiec zatrzymał się pośrodku pola. Ja odetchnąłem zadowolony z pomyślnego wylądowania i spokojnie oczekiwałem na traktor, który teraz, po wykonaniu nawrotu, zaczął zmierzać w moim kierun-

Programy inwestycyjne

Zabezpieczenia dla kredytobiorców

Rozwiązania emerytalne

Odpowiedzialność cywilna i pomoc prawna dla firm i osób fizycznych

Inne rozwiązania ubezpieczeniowe

Iwo Alwa Listewnik
Biuro – Szczecin, ul. Koński Kierat 13, I piętro
e-mail: Iwo.Listewnik@port.allianz.pl
0 604 428 362, 091 44 03 614

fot. Janusz Szczupak

ku. Powoli opuszczałem kabinę szybowca oczekując rychłego zatrzymania się traktora. Tymczasem jego silnik jakby nawet nieco zwiększył obroty, dopiero wówczas zreflektowałem się, że traktorzysta pędząc w moim kierunku, jedzie prosto pod słońce i zapewne nie może widzieć szybowca, który był pomalowany na jasnobeżowy kolor. Machając gwałtownie rękoma dosłownie wyskoczyłem jak z bloków startowych w jego kierunku. Zostałem zauważony dokładnie 15 kroków przed moim szybowcem. Traktor się zatrzymał, ja i traktorzysta byliśmy przerażeni zaistniałą sytuacją, z tym, że traktorzysta po chwili doznał szczególnego wstrząsu psychicznego, gdy dopiero po wyjściu z kabiny i wykonaniu kilku kroków w moim kierunku zauważył stojący za mną szybowiec.

Zaczęliśmy się natychmiast wzajemnie serdecznie przepraszać; skończyło się wspólnym ugaszeniem pragnienia moją herbatą, schłodzoną na dużej wysokości wykonywanego przelotu (faktycznie powietrze schładza się co 100 m wysokości o prawie 1 st. C). Traktor odjechał; ja zaś złożyłem przez radio meldunek zawiadowcy lotniska w Lesznie o lądowaniu i poprosiłem o przylot samolotu holującego. Oczekując na samolot miałem dość niezwykłą wizytę wolno zbliżającego się o lasce staruszka. Po serdecznym „niech będzie pochwalony", ów Pan okazał się być 86-letnim emerytowanym nauczycielem geografii, który wykazał się przede mną bardzo obszerną wiedzą na temat lotnictwa. Powiedział mi, że od najmłodszych lat zawsze bardzo chciał nauczyć się latać, lecz jego osobiste i zawodowe życie tak mu się ułożyło, iż nawet nigdy nie widział samolotu z bliska. Dlatego, gdy podczas codziennego spaceru po polu zauważył bardzo niziutko lecący „samolot", to postanowił go zobaczyć z bliska. Właśnie przekonał się, że jest to – jak stwierdził – bezsilnikowy samolot. Kiedy opisywałem mu budowę szybowca, przy podejściu do przyrządów pokładowych, ten Pan przerwał mi i sam opisał przeznaczenie oraz zasadę działania wszystkich „zegarów" pokładowych. Nie mogłem ukryć zdziwienia, nie szczędząc mu pochwał.

W międzyczasie przybiegła do nas jego wnuczka, której rodzina poleciła odszukać na polu zagubionego dziadka, spodziewając się nawet „najgorszego" – jak powiedziała dziewczynka. Dziadek jednak zamiast wracać szepnął wnuczce kilka słów „na ucho", po czym ona oddaliła się biegiem, aby za pół godziny przybyć ponownie na rowerze z koszykiem wypełnionym przysłowiowym jadłem i piciem. Ponieważ w międzyczasie wylądował samolot z Leszna, usiedliśmy we trójkę z pilotem „holówki" w cieniu pod skrzydłem szybowca i posililiśmy się. Pamiętam do dzisiaj, iż był chleb ze smalcem, boczek wędzony, ogórki małosolne, pomidory, a do picia maślanka. Na

koniec tego spotkania usadowiłem starszego Pana na kilka minut w kabinie szybowca. Jeszcze na pożegnanie zostałem obdarowany przez niego butelką lipowego miodu z jego – jak podkreślił – pasieki. Po szczęśliwym wystartowaniu zatoczyliśmy nad nim krąg i na „do widzenia" pomachaliśmy skrzydłami.

Przygód i szczególnych przeżyć dostarczało niemalże każde kolejne lądowanie „w polu". Jak dotychczas wszystkie one miały swój szczęśliwy finał. Wraz z upływem lat i nabywaniem kolejnych uprawnień lotniczych oraz doświadczeń postanowiłem dzielić się nimi z kolejnymi adeptami latania szybowcowego.

Dlatego właśnie, w 1981 roku zostałem instruktorem szybowcowym. Od tego czasu niemalże każdego roku uczę latać na szybowcach w różnych aeroklubach. Najczęściej miało to miejsce w Lesznie, w Szczecinie i w Przasnyszu. Aeroklub Leszczyński jest moim rodzimym aeroklubem, gdzie właściwie rokrocznie wypuszczam do samodzielnego lotu kilku pilotów – kolejne pokolenia uczniów szybowcowego latania. Około 1/4 z nich to dziewczyny, które w nauce szybowania wcale to a wcale nie ustępują chłopcom. W ostatnich kilkunastu latach do szkolenia szybowcowego zgłaszają się panowie w wieku średnim, a nawet zdecydowanie średnim. Było mi dane wyszkolić panów liczących sobie 68 lat, którzy od kilku lat szybują po niebie „jako te ptaki" wespół z młodszymi. Miałem przyjemność uczyć stawiania pierwszych kroków w powietrzu przedstawicieli wielu zawodów. Ostatnimi laty wielu przedstawicieli biznesu, a nawet kilku księży – wikarych, którym – jak żartują – przez to latanie, jakby byli bliżej swego Najwyższego Pana.

Nie ukrywam, że z niemałą satysfakcją „przyprawiłbym" któregoś lata na leszczyńskim lotnisku skrzydła uczniom pilotom i pilotkom wywodzącym się ze szczecińskich środowisk prawniczych. Namacalnym dowodem na to, że prawnika można nauczyć latać jest osoba Pana Sędziego Sądu Okręgowego w Szczecinie - Pawła Wojtysiaka, który swoje lotnicze przygody przelał w pięknym eseju na strony „In Gremio" w 3-cim numerze 2004 roku.

Kończąc pozwolę sobie zasugerować, aby zawsze napotkanemu pilotowi życzyć „tylu lądowań, ilu startów", bo właśnie te fazy lotu zawsze powinny się zbilansować „na zero". [ ]

Od redakcji:
Autor jest czynnym pilotem-instruktorem szybowcowym I klasy, pilotem samolotowym-turystycznym oraz pilotem balonowym. Wyszkolił na szybowcach łącznie ponad dwustu pilotów oraz kilkunastu instruktorów szybowcowych II klasy.

z Panem sędzią Rafałem Lilą rozmawia Roman Ossowski

Roman Ossowski: Panie przewodniczący, nie wszyscy zapewne są zorientowani, jak brzmi prawidłowa nazwa Wydziału?

Rafał Lila: Właściwa nazwa to XXIII Wydział Gospodarczy - Rejestru Zastawów.

R. O.: Czym będzie zajmował się nowo powstały Wydział?

R. L.: W Wydziale będą realizowane czynności określone przepisami Ustawy z dnia 6 grudnia 1996 r. o zastawie rejestrowym i rejestrze zastawów. Ta

stanowi, że rejestr zastawów prowadzą sądy rejonowe oraz że sąd dokonuje wpisu jeżeli umowa zastawnicza jest zgodna z przepisami prawa, a wniosek został złożony w terminie. Sam wpis od strony technicznej polega na wprowadzeniu do rejestru danych zawartych w postanowieniu sądu. Celowym jest jednak mówienie o realizacji czynności, a nie wyłącznie o rozpoznawaniu wniosków o wpis, gdyż w ramach Wydziału funkcjonuje Ekspozytura Centralnej Informacji o Zastawach Rejestrowych. Każdy zainteresowany może, korzystając z pomocy pracownika Ekspozytury, uzyskać bezzwłocznie informację, odpis czy zaświadczenie z rejestru. Należy jednak pamiętać o tym, że wnioski składane do Ekspozytur drogą korespondencyjną przekazywane są do Wydziału Obsługi Klienta w Warszawie.

Warto również zaznaczyć, iż Wydział Rejestru Zastawów w Szczecinie jest właściwy miejscowo do spraw z obszaru właściwości Sądów Rejonowych, okręgów: gorzowskiego, koszalińskiego i szczecińskiego.

R. O.: Ilu sędziów trafiło do Wydziału?

R. L.: Jestem jedynym sędzią w Wydziale. Czynności związane z rozpoznawaniem spraw rejestru zastawów mogą wykonywać referendarze sądowi i to oni rozpoznają większość wniosków. Aktualnie Wydział nie posiada pełnej obsady kadrowej. Poza dwoma referendarzami w Wydziale pracuje siedmiu pracowników administracyjnych. Na obecnym etapie funkcjonowania Wydziału, kiedy wpływ spraw z przyczyn naturalnych jest niższy, ten poziom zatrudnienia zapewnia właściwą sprawność postępowania. Jest on jednak niewystarczający dla obsługi wniosków przy pełnym obciążeniu Wydziału. Wielkość wpływu spraw do Wydziału i związane z tym potrzeby kadrowe były przedmiotem analizy, dlatego też w najbliższym czasie spodziewamy się dodatkowych etatów.

R. O.: Jaka jest specyfika postępowań w sprawach zastawów?

R. L.: W aktualnym stanie prawnym dla wszczęcia postępowania, niezależnie od tego czy dotyczy ono wpisu, jego zmiany czy wykreślenia, konieczne jest złożenie stosownego wniosku. Postępowanie ma charakter niesporny i stosuje się do niego przepisy kodeksu postępowania cywilnego o postępowaniu nieprocesowym, z uwzględnieniem przepisów ustawy o zastawie rejestrowym i rejestrze zastawów.

R. O.: Czy oznacza to, iż w dużej mierze postanowienia wydawane będą na posiedzeniach niejawnych?

R. L.: Tak, w zasadzie wszystkie orzeczenia wydawane będą na posiedzeniach niejawnych.

R. O.: Jak Pan trafił do tego Wydziału?

R. L.: Latem 2006 r. zostałem zaproszony do współpracy przez Pana Prezesa Sądu Rejonowego w Szczecinie, który był pełnomocnikiem Prezesa Sądu Okręgowego w Szczecinie ds. utworzenia wydziału rejestru zastawów. Wówczas też padła propozycja, abym po utworzeniu Wydziału objął funkcję przewodniczącego. W ramach czynności związanych z tworzeniem Wydziału uczestniczyłem w przygotowaniu harmonogramu prac koniecznych dla powołania tej jednostki organizacyjnej, brałem udział w spotkaniu przewodniczących wydziałów rejestrowych, które odbyło się w Jastrzębiej Górze, zostałem także wyznaczony do nawiązania kontaktów z Wydziałem Rejestru Zastawów Sądu Rejonowego w Poznaniu, aby umożliwiono tam pracownikom naszego Sądu zapoznanie się ze specyfiką pracy w tej jednostce.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że na potrzeby utworzenia Wydziału nie zostały przyznane dodatkowe etaty w 2006 r. Oznacza to, że cały ciężar kadrowy, związany z tworzeniem Wydziału, Sąd Rejonowy w Szczecinie poniósł we własnym zakresie. Wiązało się to z koniecznością osłabienia personalnego innych Wydziałów. Część zatrudnionych w nich pracowników, wytypowanych do pracy w Wydziale Rejestru Zastawów, brała udział w szkoleniach i czynnościach organizacyjnych, co nie zawsze dawało się pogodzić z ich dotychczasowymi obowiązkami. Stąd też należą się wyrazy podziękowania Przewodniczącym tych Wydziałów i Kierownikom ich sekretariatów za zrozumienie tej dość wyjątkowej sytuacji.

Sam proces przygotowania kadr do pracy w Wydziale przebiegał stosunkowo sprawnie, dzięki odpowiedzialnemu podejściu samych kandydatów. Przy ich wyłonieniu odwołano się do tych technik zarządzania zasobami ludzkimi, które opierają się na gospodarowaniu wiedzą - doświadczeniem i kompetencjami - zdolnościami. Ten mechanizm umożliwił zatrudnienie w Wydziale znacznej liczby pracowników o stosunkowo krótkim stażu pracy w Sądzie, ale posiadających predyspozycje do obsługi systemu informatycznego,

w którym działa rejestr i przejawiających gotowość dalszego rozwoju. Równocześnie starano się zagwarantować wysoki poziom obsługi interesantów i organizacji pracy, przez powierzenie funkcji kierowniczych pracownikom sprawdzonym i wyróżniającym się od wielu lat przy realizacji powierzonych im zadań. Mam nadzieję, że to rozwiązanie okaże się trafne.

R. O.: Słyszałem, że otwarcie Wydziału miało uroczysty charakter.

R. L.: Tak, to prawda. W dniu 3 stycznia 2007 r. miało miejsce uroczyste otwarcie Wydziału, w którym wzięli udział wiceminister sprawiedliwości Krzysztof Józefowicz oraz zastępca Dyrektora Departamentu Centrum Ogólnopolskich Rejestrów Sądowych i Informacji Resortu Ministerstwa Sprawiedliwości Marek Kulawczyk, Prezesi Sądów Apelacyjnego i Okręgowego w Szczecinie, wiceprezesi tych sądów i ich dyrektorzy finansowi. Obecny był również Prezes Sądu Rejonowego w Szczecinie. Gospodarzem wizyty był Prezes Sądu Okręgowego w Szczecinie Pan Henryk Sobociński. Konieczna inicjatywa utworzenia Wydziału pochodziła właśnie z Sądu Okręgowego.

Zaproszeni goście zauważyli, że powołanie Wydziału Rejestru Zastawów w Sądzie Rejonowym w Szczecinie stanowi zwieńczenie dzieła tworzenia Sądu Apelacyjnego w naszym mieście. Poza tym utworzenie Wydziału wymagało współpracy i zaangażowania wielu osób, zarówno pracowników Sądu Okręgowego w Szczecinie, którzy zabezpieczali zadanie od strony inwestycyjnej i informatycznej, jak i pracowników sądu rejonowego, którzy realizowali czynności zaopatrzeniowe oraz związane z wyłonieniem kadr dla wydziału i ich merytorycznym przygotowaniem. Myślę, że obecność gości stanowiła wyraz uznania dla wszystkich uczestniczących w tworzeniu Wydziału.

R. O.: Czy dla Pana przejście z sądu gospodarczego do obecnego to zawodowy awans?

R. L.: Wydział Rejestru Zastawów również znajduje się w pionie sądownictwa gospodarczego. Poza tym na sprawę można patrzeć z różnych punktów widzenia. Jeśli chodzi o zmianę wydziałów, to nie awansowałem, bo nastąpiło tzw. przesunięcie poziome. Jeśli położymy nacisk na powierzenie mi funkcji przewodniczącego, to uwzględniając fakt, iż takiej dotychczas nie pełniłem, możemy mówić o awansie. Mając z kolei na uwadze, że Wydział Rejestru Zastawów jest wysoce specjalistycznym oraz że jestem w nim jedynym sędzią, jednym spośród ok. 20 w całym kraju, to do postrzegania całego zdarzenia jako awansu zawodowego należy podejść z właściwą rezerwą.

Mówiąc jednak poważnie, sądy sprawują wymiar sprawiedliwości a sędziowie realizują zadania z tego zakresu i niezależnie od tego w jakim miejscu, winni to czynić najlepiej jak potrafią. W kontekście zaś powierzenia mi stanowiska funkcyjnego, to uważam za trafne stwierdzenie, iż przewodniczącym wydziału, czy pełniącym inne funkcje się bywa, a sędzią się jest.

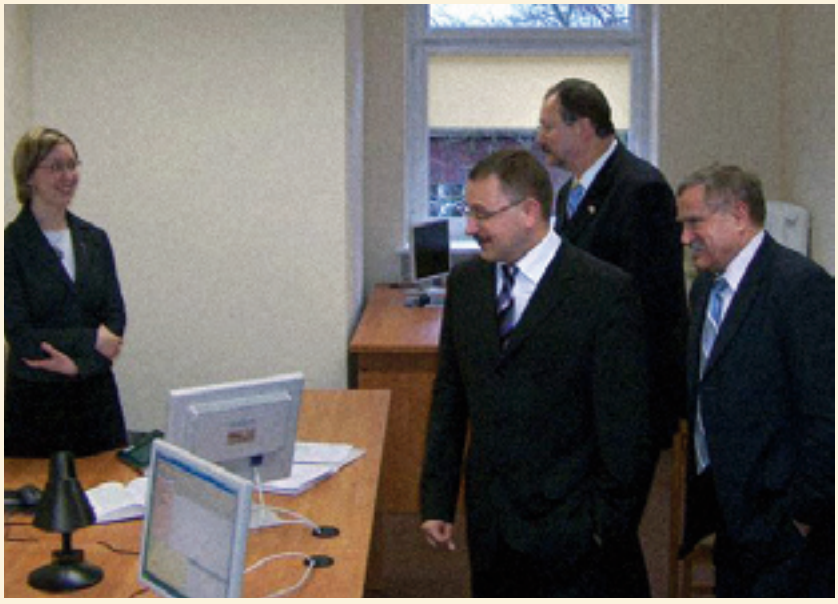

na zdjęciach: otwarcie Wydziału

Zaproszenie mnie do współpracy przy organizacji Wydziału uważam za wyróżnienie. Samą zaś pracę związaną z tworzeniem nowego Wydziału traktuję jako wyzwanie zawodowe.

R. O.: Zdążył się Pan zapewne już zorientować w praktyce jak wygląda praca przewodniczącego nowego Wydziału – czy jest ciekawsza od orzekania w sprawach gospodarczych?

R. L.: Niewątpliwie występuje odmienność samego postępowania jak i zagadnień stanowiących jego przedmiot. Myślę, że wiele osób utożsamia funkcjonowanie naszego Wydziału z ustanawianiem zastawu na pojazdach samochodowych dla zabezpieczenia kredytów zaciągniętych w celu ich nabycia. Rzeczywiście obsługujemy takie wnioski, lecz w praktyce występują też inne sprawy. Pierwsze wnioski, które do nas wpłynęły wskazywały jako przedmiot zastawu pożytki naturalne rzeczy, a dokładniej mówiąc plony zbóż i roślin oleistych jakie powinny być zebrane latem 2007 r. Jako przedmiot zastawu wskazywano jednostki uczestnictwa w funduszach inwestycyjnych, a nawet zbiory rzeczy (składniki całych przedsiębiorstw). Wydaje się zatem, że również w Wydziale Rejestru Zastawów nie będzie brakowało interesujących spraw. Poza tym ja osobiście znajduję się w tej dobrej sytuacji, że umożliwiono mi dalsze orzekanie w Wydziale XI Gospodarczym, w zakresie jaki będzie do pogodzenia z obowiązkami realizowanymi w Wydziale XXIII. Zatem cały czas powinienem mieć kontakt z postępowaniem rozpoznawczym właściwym dla spraw gospodarczych.

R. O.: Czego możemy życzyć w nowym miejscu pracy?

R. L.: Uważam, że działania Wydziału Rejestru Zastawów mają ułatwiać kreowanie ograniczonego prawa rzeczowego, jakim jest zastaw rejestrowy i w ten sposób sprzyjać rozwojowi obrotu gospodarczego i kapitałowego. W tym znaczeniu Wydział pełni rolę służebną. Dobrze byłoby realizować to zadanie sprawnie. Aby tak się stało poza odpowiednim poziomem przygotowania pracowników, koniecznym jest prawidłowe sporządzenie przez zainteresowanych wniosków i dokumentów koniecznych dla dokonania wpisu. Zatem najchętniej przyjąłbym życzenia samych prawidłowo opracowanych wniosków i ciekawych umów zastawniczych.

R. O.: Tego więc życzę i dziękuję za rozmowę. [ ]

Maciej Ławrynowicz
Sędzia Sądu Rejonowego w Szczecinie

Zajęcie wynagrodzenia za pracę małżonka dłużnika w postępowaniu egzekucyjnym

Ustawa z dnia 17 czerwca 2004 r. o zmianie ustawy – kodeks rodzinny i opiekuńczy oraz niektórych innych ustaw (Dz. U. Nr 162 poz. 1691) zmieniła z dniem 20 stycznia 2005 r. w dosyć istotny sposób zasady odpowiedzialności osób pozostających w związku małżeńskim. Zgodnie z treścią znowelizowanego art. 41 § 1 ustawy Kodeks rodzinny i opiekuńczy (dalej powoływanej jako krio) jeżeli małżonek zaciągnął zobowiązanie za zgodą drugiego małżonka, wierzyciel może żądać zaspokojenia także z majątku wspólnego małżonków. Paragraf 2 cytowanego przepisu stanowi, iż w przypadku zaciągnięcia zobowiązania bez zgody drugiego małżonka albo gdy zobowiązanie nie wynika z czynności prawnej wierzyciel może żądać zaspokojenia z majątku osobistego dłużnika, w tym z wynagrodzenia za pracę.

Z przytoczoną wyżej regulacją art. 41 krio skorelowany jest przepis art. 7761 k.p.c. wskazujący sposób i zakres prowadzenia egzekucji przeciwko osobie pozostającej w związku małżeńskim.

W myśl art. 7761 § 1 k.p.c. tytuł wykonawczy wystawiony przeciwko dłużnikowi pozostającemu w związku małżeńskim jest podstawą do prowadzenia egzekucji nie tylko z majątku osobistego dłużnika, lecz także z pobranego przez niego wynagrodzenia za pracę lub z dochodów uzyskanych z prowadzenia przez niego innej działalności zarobkowej oraz korzyści uzyskanych z praw autorskich i praw pokrewnych, praw własności przemysłowej oraz innych praw twórcy. Równocześnie postanowienia paragrafów 2 i 3 art. 7761 k.p.c. określają konsekwencje rozszerzenia wspólności majątkowej małżeńskiej i dopuszczają obronę dłużnika i jego małżonka tylko w drodze powództw przeciwegzekucyjnych.

Przepisy kodeksu postępowania cywilnego przewidują możliwość nadania klauzuli wykonalności w stosunku do drugiego małżonka w trzech sytuacjach:

a) jeżeli wierzytelność powstała z czynności prawnej dokonanej za zgodą małżonka dłużnika – wówczas sąd nada klauzulę wykonalności z ograniczeniem odpowiedzialności małżonka do majątku objętego wspólnością majątkową (art. 787 k.p.c.),

b) jeżeli wierzytelność powstała w związku z prowadzeniem przedsiębiorstwa – sąd nada klauzulę wykonalności z ograniczeniem odpowiedzialności do przedsiębiorstwa wchodzącego w skład majątku wspólnego małżonków (art. 7871 k.p.c.),

c) jeżeli zawarto umowę majątkową małżeńską – sąd nada klauzulę wykonalności przeciwko małżonkowi dłużnika co do wierzytelności wynikającej z czynności prawnej dokonanej za zgodą małżonka lub powstałej w związku z prowadzeniem przedsiębiorstwa, przy czym prowadzenie egzekucji ogranicza się do składników, które należałyby do majątku wspólnego gdyby umowy majątkowej nie zawarto (art. 7872 k.p.c.). Istotne znaczenie ma także art. 471 krio, wedle którego małżonek może powoływać się względem innych osób na umowę majątkową małżeńską, gdy jej zawarcie oraz rodzaj były tym osobom znane.

W związku z powyższymi zasadami odpowiedzialności dłużnika i jego małżonka powstaje nierzadko na gruncie postępowania egzekucyjnego problem zakwalifikowania danego składnika do majątku osobistego bądź majątku wspólnego małżonków i określenia w związku z tym zakresu i dopuszczalności dokonania zajęcia mienia małżonka dłużnika przez organ egzekucyjny.

Treść art. 787 k.p.c. przesądza o ograniczeniu odpowiedzialności małżonka dłużnika do mienia objętego wspólnością majątkową. Powstaje w związku z tym pytanie czy wynagrodzenie za pracę będące przedmiotem zajęcia w rozumieniu art. 880 i nast. k.p.c. zaliczyć należy do składników majątku wspólnego małżonków, czy też do majątku osobistego małżonka dłużnika.

Art. 31 § 1 krio stanowi, iż z chwilą zawarcia małżeństwa powstaje między małżonkami z mocy ustawy wspólność majątkowa (wspólność ustawowa) obejmująca przedmioty majątkowe nabyte w czasie jej trwania przez oboje małżonków lub przez jednego z nich (majątek wspólny). Przedmioty majątkowe nieobjęte wspólnością ustawową należą do majątku osobistego każdego z małżonków. Jednocześnie art. 31 § 2 pkt 1 krio wskazuje, iż do majątku wspólnego należy w szczególności pobrane wynagrodzenie za pracę. Kodeks rodzinny i opiekuńczy określa także składniki majątku osobistego wskazując między innymi w pkt 7 art. 33 wierzytelności z tytułu wynagrodzenia za pracę. O ile przedmioty należące do majątku wspólnego wymienione zostały przykładowo (świadczy o tym użyte przez ustawodawcę wyrażenie „w szczególności"), o tyle określenie przedmiotów majątku osobistego każdego z małżonków w art. 33 krio jest wyczerpujące i stanowi katalog zamknięty (numerus clausus).

Na gruncie kodeksu rodzinnego i opiekuńczego można zatem wyróżnić dwa rodzaje składników majątkowych:

- pobrane wynagrodzenie (art. 31 § 2 pkt 1 krio)
- wierzytelności z tytułu wynagrodzenia za pracę (art. 33 pkt 7 krio).

W związku z powyższym powstaje ważne pytanie odnośnie przebiegu egzekucji i dopuszczalności zajęcia, a mianowicie, z którym z wymienionych składników majątkowych mamy do czynienia w przypadku

egzekucji wynagrodzenia za pracę w rozumieniu przepisów kodeksu postępowania cywilnego.

Sposób postępowania przy prowadzeniu egzekucji z wynagrodzenia za pracę określają przepisy działu II tytułu II części trzeciej kodeksu postępowania cywilnego tj. art. 880 – 888 k.p.c.

Do egzekucji z wynagrodzenia za pracę komornik przystępuje przez jego zajęcie (art. 881 § 1 k.p.c.).

Zajęcie polega na :

- zawiadomieniu dłużnika, że do wysokości egzekwowanego świadczenia i aż do pełnego pokrycia długu nie wolno mu odbierać wynagrodzenia poza częścią wolną od zajęcia ani rozporządzać nim w żaden inny sposób (art. 881 § 2 k.p.c.)

- wezwaniu pracodawcy, aby w granicach poza częścią wolną od zajęcia nie wypłacał dłużnikowi żadnego wynagrodzenia, lecz przekazywał zajęte wynagrodzenie bezpośrednio wierzycielowi lub komornikowi (art. 881 § 3 k.p.c.).

Zajęcie jest dokonane z chwilą doręczenia wezwania dłużnikowi zajętej wierzytelności, co wynika z art. 883 § 1 k.p.c.

Nadmienić należy, że żaden z przepisów działu II tytułu II części trzeciej kodeksu postępowania cywilnego nie wspomina o pobranym wynagrodzeniu za pracę, zaś zakaz wynikający z art. 881 § 2 k.p.c. dotyczy odbierania wynagrodzenia przez dłużnika poza częścią wolną od zajęcia.

Z powyższego wynika, że w przypadku egzekucji z wynagrodzenia za pracę mamy do czynienia z wierzytelnością. Jest to wierzytelność przysługująca pracownikowi (egzekwowanemu małżonkowi) wobec pracodawcy z tytułu wypłaty tego wynagrodzenia. Tak rozumiane wynagrodzenie za pracę jest składnikiem majątku osobistego z mocy art. 33 pkt 7 kodeksu rodzinnego i opiekuńczego. Konsekwencją tego jest zaś stwierdzenie, że zajęcie i prowadzenie egzekucji z wynagrodzenia za pracę małżonka dłużnika odpo-

wiadającego tylko majątkiem wspólnym jest niedopuszczalne.

Skoro zajęcie wynagrodzenia następuje u pracodawcy (zobowiązanego do wypłacenia wynagrodzenia pracownikowi) poprzez skierowanie do niego zawiadomienia wraz z określonymi nakazami i zakazami co do dysponowania zajętą kwotą nie może być wątpliwości, że chodzi tu o wierzytelności małżonka dłużnika, a nie o pobrane wynagrodzenie.

Obawa usunięcia spod egzekucji majątku w przypadku pobrania wynagrodzenia przez małżonka dłużnika i udaremnienia tym samym egzekucji wierzycielowi nie mogą stanowić podstawy do zezwolenia na prowadzenie egzekucji wbrew treści klauzuli wykonalności.

Rozporządzać można jedynie wierzytelnością z tytułu wynagrodzenia za pracę (por. art. 885 k.p.c.). Nie jest możliwe rozporządzenie sumą pieniężną pochodzącą z zajętego wynagrodzenia za pracę, ponieważ uprawniony jeszcze go nie otrzymał (nie odebrał). Do rozporządzenia (przeniesienia własności) rzeczy oznaczonych tylko co do gatunku potrzebne jest natomiast przeniesienie ich posiadania czyli wydanie (art. 155 § 2 k.p.c.). Wzmacnia to tezę, że przedmiotem zajęcia w przypadku egzekucji z wynagrodzenia za pracę jest wierzytelność.

Nazwa działu II tytułu II części trzeciej kodeksu postępowania cywilnego jak również wyrażenie użyte w przepisach art. 880 k.p.c. oraz art. 882 § 1 in principio k.p.c., gdzie mowa jest o wynagrodzeniu za pracę jako przedmiocie zajęcia, mogą sugerować, że chodzi zarówno o wierzytelność jak i o pobrane wynagrodzenie.

Przepisy kodeksu postępowania cywilnego nie dają jednak podstaw do innego niż dosłowne rozumienia wyrażenia „wierzytelność" użytego w przepisach kodeksu postępowania cywilnego, w szczególności w art. 883, 887 § 2 k.p.c., art. 888 k.p.c. oraz w przepisach kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, a zwłaszcza jego art. 33 pkt 7. Przepis art. 7761 k.p.c. określa granice odpowiedzialności dłużnika pozostającego w związku małżeńskim i zakłada dopuszczalność prowadzenia egzekucji z majątku osobistego dłużnika (czyli m.in. z wierzytelności z tytułu wynagrodzenia za pracę), a także z pobranego wynagrodzenia za pracę. Porównując te regulacje z przepisem art. 787 k.p.c., czy też art. 7872 k.p.c. można wywnioskować, że ustawodawca świadomie ograniczył możliwość prowadzenia egzekucji przeciwko małżonkowi dłużnika tylko do majątku wspólnego, który obejmuje pobrane wynagrodzenie za pracę małżonka dłużnika. Gdyby zamiarem ustawodawcy było umożliwienie egzekwowania długu osobistego dłużnika również z wierzytelności z tytułu wynagrodzenia za pracę jego małżonka brzmienie art. 787 k.p.c. wyraźnie wskazywałoby na ten składnik majątku osobistego.

Istnieją ważkie argumenty natury funkcjonalnej i systemowej przemawiające przeciwko rozszerzającej wykładni przesłanek prowadzenia egzekucji ze względu na treść klauzuli wykonalności, jak również sposób egzekucji z wynagrodzenia za pracę.

Zakres egzekucji limitowany jest przez treść tytułu wykonawczego. Tytułem wykonawczym jest tytuł egzekucyjny zaopatrzony w klauzulę wykonalności (art.776 k.p.c.). Zgodnie z art. 803 k.p.c. tytuł wykonawczy stanowi podstawę do prowadzenia egzekucji o całe objęte nim roszczenie i ze wszystkich części majątku dłużnika, chyba że z treści tytułu wynika co innego. W istotny sposób ograniczona zostaje możliwość prowadzenia egzekucji z majątku małżonka dłużnika poprzez treść art. 787 k.p.c. Wedle tego przepisu wierzyciel może poszukiwać zaspokojenia u małżonka dłużnika jedynie z majątku objętego wspólnością ustawową. Powyższe okoliczności wydają się dostatecznie uzasadniać ścisłą wykładnię pojęcia „zajęcie wynagrodzenia za pracę" i wniosek, że chodzi tu wyłącznie o wierzytelności z tego tytułu.

Ratio legis obecnego kształtu odpowiedzialności małżonka dłużnika majątkiem wspólnym upatrywać należy przede wszystkim w charakterze i funkcji wynagrodzenia za pracę jako świadczenia mającego zapewnić źródło utrzymania rodziny, jak również prawa podlegającego szczególnej ochronie przewidzianej przepisami prawa pracy.

Należy pamiętać, że małżonek nie jest dłużnikiem osobistym wierzyciela egzekwującego, lecz jedynie odpowiada za cudzy dług z mocy ustawy. Przepisy art.

rys. Arkadiusz Krupa (Sędzia Sądu Rejonowego w Goleniowie)

787, 7871, 7872 k.p.c. mają charakter wyjątkowy i nie powinny być interpretowane rozszerzająco. Nadmienić także należy, iż art. 787, w przeciwieństwie do art. 7872, nie ogranicza obrony małżonka do powództw przeciwegzekucyjnych.

W myśl art. 824 § 1 pkt 2 k.p.c. postępowanie egzekucyjne podlega umorzeniu w całości lub części z urzędu, gdy egzekucja ze względu na jej przedmiot lub osobę dłużnika jest niedopuszczalna.

Zgodnie z art. 825 pkt 3 k.p.c. organ egzekucyjny umorzy postępowanie w całości lub w części na wniosek, jeżeli egzekucję skierowano przeciwko osobie, która według klauzuli wykonalności nie jest dłużnikiem i która sprzeciwiła się prowadzeniu egzekucji, albo jeżeli prowadzenie egzekucji pozostaje z innych powodów w oczywistej sprzeczności z treścią tytułu wykonawczego.

Umorzeniu podlega postępowanie egzekucyjne jedynie w części odnoszącej się do egzekucji z wynagrodzenia za pracę małżonka dłużnika. Skutkiem umorzenia postępowania jest uchylenie dokonanych czynności egzekucyjnych (art. 826 k.p.c.).

Zajęcie wynagrodzenia za pracę może być kwestionowane w drodze wniosku do komornika o umorzenie postępowania egzekucyjnego w tej części czy też wniosku o uchylenie zajęcia (art. 760 § 1 k.p.c.) lub w drodze skargi na czynności komornika składanej do sądu rejonowego przy którym działa komornik (art. 767 i nast. k.p.c.).

Zajęcie wynagrodzenia za pracę małżonka dłużnika na podstawie tytułu egzekucyjnego zaopatrzonego w klauzulę wykonalności ograniczającą jego odpowiedzialność do majątku wspólnego nie było dotąd przedmiotem orzecznictwa Sądu Najwyższego. Jest to jednak problem dość często występujący w praktyce. Za nieuzasadnione należy uznać stanowisko, przyjmowane przez niektóre sądy rejonowe, dopuszczające możliwość zajęcia i prowadzenia egzekucji z wynagrodzenia za pracę małżonka dłużnika. Sądy rejonowe wyrażają poglądy na dopuszczalność zajęcia najczęściej w postanowieniach rozstrzygających skargi na czynności komornika. Warto pamiętać, iż wbrew spotykanym poglądom, postanowienie rozstrzygające skargę na zajęcie wynagrodzenia za pracę nie jest postanowieniem kończącym postępowanie w sprawie i z tego względu nie znane jest w praktyce stanowisko sądów wyższej instancji w omawianej materii.

Powyższe uwagi mają na celu zasygnalizowanie problematyki zakresu odpowiedzialności małżonka dłużnika. Zawarte w artykule przemyślenia przydatne będą zatem dla praktyków, stykających się z zagadnieniami dotyczącymi postępowania egzekucyjnego. [ ]

DECEMBER CASUS

Ile miesięcy ma rok? Nie jest to pytanie podchwytliwe. Dwanaście. Nie trzeba jednak być uczonym romanistą, żeby zauważyć, że coś tu się nie zgadza. Krótko po egzaminie dojrzałości dokonałem szokującego dla mnie odkrycia. Mianowicie październik, listopad, grudzień posiadają łacińskie odpowiedniki: octawius, nonus, decimus. Od nich wywodzą się znane w językach germańskich nazwy miesięcy: October, November, December, czyli po prostu ósmy, dziewiąty, dziesiąty. Dlaczego więc w kalendarzu oznaczają odpowiednio dziesiąty, jedenasty i dwunasty miesiąc w roku? Poczułem się oszukany, choć bardzo łatwo wyjaśnić tę pojęciową niespójność.

Dawny rok rzymski rozpoczynał się pierwszego marca *(Martius)* i trwał tylko 10 miesięcy. Aby zapobiec chaosowi w miarę potrzeby dodawano miesiąc dodatkowy – *Intercalarius*. W tym systemie December rzeczywiście plasuje się na dziesiątym miejscu, zgodnie z jego nominalną nazwą. Jak pisze Swetoniusz w „Żywotach Cezarów": *„Boski Juliusz poprawił kalendarz, już od dawna pozostający z winy kapłanów przesuwających samowolnie miesiące przestępne w stanie takiego bezwładu, że ani święto dożynek nie przypadało latem, ani winobranie jesienią".*

Pod kierunkiem Sosigenesa, astronoma z Aleksandrii, Cezar dokonał w 46 r. p.n.e. administracyjnej reformy czasu, polegającej na dodaniu dwóch miesięcy do roku księżycowego i przystosowaniu go do obiegu słońca. Zgodnie z reformą rok juliański rozpoczynał się 1 stycznia *(Januarius)* i trwał do 31 grudnia, w sumie 365,25 doby, w związku z czym co 4 lata miano dodawać jeden dzień do miesiąca luty *(Februarius)*. W roku zmiany kalendarzowy grudzień wypadał we wrześniu, więc kalendarz spieszył się o kwartał. Chcąc uzyskać od następnego roku zgodność rachuby czasu z porami roku, pomiędzy November i December musiano wprowadzić jednorazowo jeszcze dwa dodatkowe miesiące. Jeżeli dodać do tego właśnie przypadający zwyczajowo *Intercalarius*, rok, w którym przeprowadzono reformę liczył 15 miesięcy. Problem w tym, że nikt nie wpadł na to, żeby zaktualizować nazwy miesięcy, przez co od XX wieków wprowadzani jesteśmy w błąd. Jednak nie w celu krytyki zaniedbań Juliusza Cezara naświetliłem tą sytuację.

Powyższy kazus równie głęboko analizował około dwóch tysięcy lat temu prokurator Galii Ludgońskiej Juliusz Licynusz. Kilka lat wcześniej barbarzyńca, pojmany do niewoli podczas kampanii galijskiej za wystąpienia zbrojne przeciwko Cezarowi. Dziwnym trafem udało mu się dostać do osobistej służby wielkiego wodza, szybko uzyskał status wyzwoleńca i dzięki doskonałej znajomości lokalnych stosunków otrzymał urząd inspektora finansów trzech Galii z siedzibą w Ludgunum. Jednym z pierwszych jego własnych posunięć było zorganizowanie zakrojonej na szeroką skalę kampanii informacyjno-edukacyjnej na rzecz popularyzacji mowy klasycznej wśród miejscowej ludności. Z żelazną konsekwencją i osobistym zaangażowaniem wdrażał swój autorski program w życie. Jednak chyba średni był z niego magister, skoro swojego nauczania nie rozpoczął od czasowników posiłkowych, lecz od liczebników i nazw miesięcy. Wielokrotnie wyjaśniał, iż nazwy miesięcy pochodzą od liczebników i skoro „Decem" oznacza „dziesięć", to zgodnie z tym December jest dziesiątym z kolei miesiącem roku. Reasumując, rok składa się z XII miesięcy, a December według wiedzy przekazanej przez Licynusza jest dopiero dziesiątym miesiącem. Z arytmetyki tej wynika jasno i przejrzyście, że rok powinien trwać jeszcze dwa miesiące, rok podatkowy oczywiście.

Sukces przyszedł błyskawicznie. Skończył się December, a do prokuratorskiej kasy dalej napływały świadczenia i kontrybucje, których obowiązek uiszczania nie podlegał przecież dyskusji. W końcu Galowie połapali się, jakiego to mieli bystrego rodaka. Skargi rozwścieczonych i upokorzonych prowincji dotarły do samego Oktawiana Augusta. Przed efektowną śmiercią w paszczach wielkich kotów Imperatora, obligatoryjnym skokiem ze Skały Tarpejskiej, zamurowaniem czy spaleniem żywcem uchroniła Licyniusza ponoć deklaracja, iż majątkiem w ten sposób uzyskanym chciał podzielić się z Pierwszym. Z informacją o stanie kasy zwlekał zaś po to, żeby radość Princepsa była największa. Jako skromny urzędnik nie chciał chwalić się prowincjonalnymi pomysłami. Miała nim kierować również uzasadniona obawa, jakoby Galowie, dysponując zabezpieczonym przez niego mieniem, niechybnie przygotowali zbrojne powstanie przeciwko Rzymowi.

Widać więc, iż przy pewnej inwencji i sile perswazji oraz przy odpowiednim zmanipulowaniu, prosta informacja administracyjna może być źródłem spektakularnego sukcesu pomysłodawcy. Ciekawe, jak wielu takich „przedsiębiorczych przedstawicieli władzy", niezależnie od właściwej sobie epoki i tła społecznego, zgodziłoby się z twierdzeniem, że *ignorantia iuris* to złoto na ulicy? Należałoby również zapytać: Jak długo będziemy ich wspierać, utrzymując bałagan pojęciowy w sprawie dla nas najważniejszej – w sprawie czasu...?

Piotr Rybczyński
Asystent w Katedrze Prawa Rzymskiego
i Historii Doktryn Polityczno-Prawnych
Wydziału Prawa i Administracji US

[Maciej Strączyński]
Przewodniczący III Wydz. Karnego Sądu Okręgowego w Szczecinie, Wiceprezes Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia”

Barnim II
Gryfita zhańbiony

Od śmierci księcia Warcisława I Wyznawcy minęło ponad 100 lat. Na pomorskim tronie zasiadały w tym czasie kolejne pokolenia braci-książąt: po Warcisławie i jego bracie Raciborze byli to dwaj synowie Warcisława – Bogusław I i Kazimierz I, potem dwaj synowie Bogusława I – Bogusław II i Kazimierz II. W obu tych parach starszy brat, Bogusław, panował w Szczecinie, młodszy zadowalał się dzielnicą zachodnią i rezydował w Dyminie. Po śmierci Bogusława II i Kazimierza II, którzy odeszli z tego świata niemal jednocześnie, w Szczecinie panować mieli synowie Bogusława II – Bogusław III i Barnim I, a w Dyminie syn Kazimierza II, Warcisław III. Rządziły za nich matki, gdyż starszy syn Bogusława II miał trzy lata, a jego kuzyn z Dymina mniej więcej dziesięć. Wkrótce zmarł mały Bogusław III i jedynym księciem szczecińskim pozostał Barnim I, który jako dorosły uzyskał przydomek Dobry. Pisane mu było najdłuższe panowanie w historii Pomorza, bo od chwili, gdy zasiadł na tronie jako niemowlę, miał na nim urzędować przez 58 lat.

Barnim I objął samodzielne rządy prawdopodobnie w roku 1233. Przez ponad trzydzieści lat dzielił się władzą i ziemią ze swoim starszym nieco kuzynem Warcisławem III dymińskim. Przeszedł do historii jako ten, który nadał większości pomorskich miast – w tym Szczecinowi – prawa miejskie. Gdy w 1264 r. Warcisław III bezpotomnie zmarł, Barnim I Dobry objął władzę na całym Pomorzu Zachodnim. Był wówczas, w wieku czterdziestu kilku lat, jedynym dorosłym przedstawicielem rodu. Już wtedy Gryfitów, bo gryf jako godło książęce pojawił się w końcu XII w. na pieczęci Bogusława II. Wygaśnięcie zaś rodowi nie groziło, bo w książęcym grodzie rósł już następca tronu.

Z pierwszą żoną Marianną, księżniczką duńską, Barnim I miał tylko córkę. Druga, Małgorzata, prawdopodobnie księżniczka meklemburska, urodziła mu około roku 1255 pierwszego syna – Bogusława IV. Gdy kilka lat później zmarła, Barnim I ożenił się po raz trzeci z Matyldą (Mechtyldą), margrabianką brandenburską z dynastii askańskiej. To małżeństwo przyniosło mu najpierw dwie córki, a prawdopodobnie w 1274 r. urodził się Barnim II. Mając dwóch synów, Barnim I Dobry był spokojny o los dynastii.

Najstarszego syna Bogusława IV Barnim I Dobry dopuścił do współrządzenia jeszcze za życia, prawdopodobnie w 1273 r. Gdy pięć lat później zmarł, Bogusław IV – któremu później w dowód jego zalet nadano zabawnie brzmiący przydomek „Ciało i Dusza” – objął rządy również w imieniu młodszych przyrodnich braci. Dwóch, bo już po śmierci ojca, jako pogrobowiec, urodził się w 1279 r. Otton I. Bogusław IV władał samodzielnie całym Pomorzem conajmniej przez kilkanaście lat, chociaż w dokumentach bracia niejednokrotnie figurują obok niego. Wiadomo jednak, że byli zbyt mali, aby odgrywać jakąkolwiek faktyczną rolę w rządzeniu krajem. Dopiero w 1294 r. pojawia się pierwszy dokument, w którym Barnim II i Otton I występują bez starszego brata, a więc jako dorośli. Czyli, jak na ówczesne czasy i książęcą krew, co najmniej piętnastoletni. Barnim II niewątpliwie musiał mieć lat nieco więcej, może około 20 – jeśli zważyć, co wydarzyło się w następnym roku.

Był to zaś rok 1295, pamiętny w historii sąsiedniej Polski. W tym to roku, po śmierci ostatniego księcia gdańskiego Mściwoja II, wielkopolski książę Przemysł II zjednoczył północne ziemie polskie i po ponad dwustu latach od poprzedniej koronacji Polska miała w jego osobie króla. Na Pomorzu rządził nadal Bogusław IV Ciało i Dusza, związany zresztą z Przemysłem II sojuszem, a jego młodsi bracia zaczynali w rządach współuczestniczyć. Wtedy to Barnim II stał się głównym bohaterem historii, którą spisali dwaj wielcy pomorscy kronikarze – Tomasz Kantzow i Jan Bugenhagen.

Barnim, lubujący się jak wielu książąt w polowaniach, wyruszył na łowy: oczywiście do Puszczy Wkrzańskiej, ulubionego miejsca łowów naszych książąt. Trzeba się jednak było gdzieś zatrzymać. Wybór księcia padł na gródek, którego właścicielem jego był rycerz o imieniu Widanta z Mokrawicy, czyli Muckerwitz.. Podczas wizyty młodemu księciu wpadła w oko piękna żona gospodarza. Kronikarze odnotowali, że pochodziła z rodu Warberg czy też Warborg: prawdopodobnie miało być Warburg, bo taki to ród, pochodzący z Meklemburgii, osiadł nieco wcześniej na Pomorzu. Barnim II nie mógł jednak otwarcie próbować uwieść żony rycerza w jego obecności. Wrócił więc do Szczecina i myślał o nadobnej pani Widantowej.

Wkrótce wymyślił intrygę: pojawiła się potrzeba wysłania posła do polskiego księcia Przemysła II, przygotowującego się wówczas już do koronacji. Jako posła wysłano więc rycerza Widantę. Kronikarze zapisali, że Widanta podążył w tym celu na Pomorze Gdańskie,

ale Przemysł II rezydował w Poznaniu, więc zapewne zapis jest nieścisły. Barnim II postanowił więc znowu wybrać się na łowy. Tym razem jednak w głowie nie były mu jelenie i tury. Wraz ze swoim zausznikiem, Janem z Klępenowa, pojawił się w grodzie Widanty, aby zapolować na słomianą wdowę.

Według zapisów kronikarzy książęcy urok zrobił swoje. Barnim II, ukazując wszystkie swoje wdzięki, zdołał uwieść żonę gospodarza. Według niektórych wersji, ale późniejszych, użył kłamstwa, donosząc pani Widantowej o śmierci męża. Mało to prawdopodobne: legenda obrastała w pióra z biegiem lat, a takich szczegółów nikt wcześniej nie odnotował. W każdym razie małżeńska cnota padła łupem księcia Barnima II, mężczyzny przecież młodego, nieżonatego i pełnego chuci.

Widanta początkowo oczywiście nie wiedział, że pod rycerskim hełmem rosną mu rogi, ale rychło się dowiedział. W jaki sposób – nie wiadomo. Być może przyłapał kochanków po powrocie, być może żona wyznała mu prawdę, może, co najpewniejsze, doniósł ktoś ze służby. W każdym razie zdradzony rycerz zdołał odnaleźć Barnima II gdzieś w pobliżu swoich włości. Do dramatycznego finału doszło na drodze wiodącej ku Szczecinowi. Barnim II uciekał w stronę stolicy, a rozjuszony Widanta – ponoć sam, ale może i ze swoim pocztem – ścigał go z mieczem w dłoni, zapewne nawołując zdradzieckiego księcia, by stanął do walki na śmierć i życie, na sąd boży. W końcu gdzieś w rejonie dzisiejszej granicy polsko-niemieckiej pod Dobieszczynem dopadł Barnima i towarzyszącego mu Jana z Klępenowa. Krótka walka, cios mieczem przez pierś i Barnim II, książę pomorski, za swój haniebny uczynek zapłacił życiem. Książęcy rajfur, Jan z Klępenowa po chwili padł koło niego.

Data śmierci Barnima II jest znana z oryginalnego dokumentu. Wprawdzie później zapisów było jeszcze kilka, ale chronologia wskazuje, że prawdziwy jest ten pierwotny i zabójstwo miało miejsce 28 maja 1295 r. Już miesiąc później, na przełomie czerwca i lipca[1], Bogusław IV Ciało i Dusza oraz Otton I – który miał później otrzymać równie ciekawy przydomek „Ojciec Ubogich" – podzielili między siebie księstwo pomorskie, już tylko na dwie części. Starszy brat objął większy, nadmorski pas z Wołogoszczą[2] i Słupskiem, młodszy księstwo szczecińskie, bez dostępu do morza. Taki podział utrwalił się na prawie 200 lat, bo obaj książęta zapoczątkowali odrębne linie dynastii.

Barnim II pochowany został w kościele NMP w Szczecinie. Fara ta, zniszczona nieco pożarem, została wyburzona już za czasów niemieckich, na początku XVIII w. Dziś w tym miejscu stoi szkoła przy ul. Mariackiej. Dokumenty współczesne księciu nie odnotowały okoliczności jego śmierci, ale też na ogół nie zawierały tak dokładnych zapisów, zwłaszcza o czymś, co nie przynosiło Gryfitom chwały. Kantzow i Bugenhagen, kronikarze działający kilka stuleci później, ale równocześnie, mogli korzystać z tych samych źródeł, a raczej z palca tak niezwykłej historii obaj nie wyssali. Poza tym tworzyli na dworze Gryfitów, więc nie mieli powodu, by zmyślać historię zhańbionego księcia.

O domniemanym zabójcy Barnima II, Widancie, jak gdyby trochę wiadomo. Imię jest prawdziwe i czysto pomorskie. Tyle tylko, że nie zapisano, by nosił je ktokolwiek z rodu Mokrawiców. Ród, noszący potem niemiecką wersję nazwiska – Muckerwitz, jest absolutnie prawdziwy i jeszcze wielokrotnie zapisał się w historii. Nie zgadza się natomiast – pozornie – położenie Mokrawicy. Wieś o takiej nazwie leży pod Kamieniem Pomorskim, a nie w Puszczy Wkrzańskiej. W 1294 r. odnotowano w rodzie Mokrawiców rycerza Andrzeja, a w 1315 r. kogoś o imieniu Loseke. Obaj związani byli z miastem Wolinem, co pasuje do rzeczywistego położenia Mokrawicy, nadanej właśnie Wolinowi.

Jednakże kronikarze nie twierdzili, że miejscem uwiedzenia żony Widanty była Mokrawica, a wręcz przeciwnie: gródek Widanty leżący opodal Wkryujścia[3] nosił potem w niemieckich zapisach nazwę Vogelsang lub Warsin. Tak też nazwano zbudowany tam po wiekach pałac. Mokrawicowie mieli zaś Puszczy Wkrzańskiej posiadłość i to właśnie tam. Część dóbr Vogelsang-Warsin nazywana była bowiem przez Niemców Muckerwitzhof, czyli pałac Muckerwitzów. Zatem nazwa ta pochodzi od nazwiska rodu, który przybył skądś indziej – zapewne z drugiej strony Zalewu Szczecińskiego.

Nie wiadomo z kolei, czy Widanta pochodził z rodu Mokrawiców, ale żył na Pomorzu. Dostojnik o takim imieniu odnotowywany jest w niejednym dokumencie właśnie z lat panowania Bogusława IV. Wiadomo, że Widanta był właścicielem Reska i krewnym sławnego rodu Borków, bo współwłaścicielem należącego do nich Łobza. Miał być nawet skoligacony później ze Świętoborzycami, boczną linią rodu Gryfitów. Jeżeli jednak istnieją dokumenty świadczące o jego działalności kilkanaście lat po śmierci Barnima II, to gdyby to on był zabójcą księcia, musiałby za swój czyn żadnej kary nie ponieść. Mało prawdopodobne: gdyby Widanta w opisanych okolicznościach zabił jakiegoś rycerza, który pohańbił mu żonę, nikt zapewne nie mrugnąłby okiem, uznano by to za zgodny z obyczajami doraźny wymiar sprawiedliwości. Ale skoro lubieżnikiem był sam książę, sytuacja była inna. Być może więc dane personalne zabójcy zostały złożone z imienia Widanty i nazwiska rodu Mokrawiców, które to oba miana były zapisywane w dokumentach współczesnych Barnimowi II. Być może też Mokrawicowie, do których niewątpliwie należał później przez stulecia Vogelsang-Warsin, weszli w posiadanie tej ziemi już po śmierci Barnima II, na co też wskazują pewne dokumenty. Może właśnie była to puścizna po zabójcy?

Legenda nie mówi zaś, co się stało z zabójcą księcia. Czy pokarał wiarołomną żonę, dokąd się udał, co się z nim stało. Skoro wyciszono haniebny czyn księcia, trudno było chwalić się ewentualnym ukaraniem jego zabójcy. Zresztą jeśli ów Widanta czy nie Widanta zabił księcia, to raczej po zabójstwie nie miał na co czekać na Pomorzu. Mógł wynieść się w szeroki świat, by jako rycerz najemnik służyć różnym panom.

Natomiast miejsce zabójstwa jest znane i upamiętnione od wieków. Leży tuż za obecną granicą, między Dobieszczynem a niemiecką już wsią Hintersee, na drodze z Wkryujścia do Szczecina. Na drodze tej obecnie nie ma przejścia granicznego, chociaż jest ono planowane w ramach rozwoju regionalnych tras rowerowych. Pewnikiem jednak swobodnie będzie można tamtędy jeździć dopiero po wejściu Polski do strefy Schengen. Stoją tam aż dwa pomniki. Pierwszym jest kamienna stela z krzyżem i wyrytym napisem „1295 Barnimscreuz" – krzyż Barnima. Postawić miał taką ponoć już brat Barnima – zapewne Otton I Ojciec Ubogich, bo do niego ta ziemia należała – w miejscu jego śmierci. W XVI wieku, gdy Kantzow pisał swoją kronikę, stał tam z kolei drewniany krzyż, zwany również krzyżem Barnima.

Kamienny pomnik został zniszczony podczas walk w 1945 r. W wyniku ustaleń granicznych miejsce, w którym stał, nie znalazło się w granicach Polski. Pomniczek został jednak odbudowany w 1983 r. staraniem koła łowieckiego z Hintersee, opiekującego się okolicznymi lasami. Dziesięć lat później, już w zjednoczonych Niemczech nieco go przesunięto w związku z odbudową drogi. Istnieje również krzyż z imieniem i rokiem śmierci księcia. Stoi zaledwie 100 metrów od granicy, niedaleko kamiennej steli: oczywiście nie ten sam, co kiedyś, ale trudno, by stojący na wolnym powietrzu drewniany krzyż wytrzymał setki lat.

I tak oto książę Barnim II, choć niczego dobrego w historii nie dokonał, a wręcz przeciwnie – przyniósł hańbę dynastii Gryfitów, został upamiętniony lepiej niż niejeden z jego krewnych, znacznie bardziej zasłużonych dla dynastii. Jak widać, historia nie zawsze bywa sprawiedliwa. A może po prostu lubi kryminały i romanse? [ ]

---

1) *w tych samych dniach, bo 26 czerwca 1295 r., miała miejsce koronacja Przemysła II.* ***2)*** *dziś Wolgast.* ***3)*** *dzis Ueckermünde.*

Myśli bez treści naocznej są puste,
dane naoczne bez pojęć - ślepe.

I. Kant

O realności niektórych fikcji i fikcyjności niektórych prawd

W połowie grudnia 2006 r. polskie agencje informacyjne podały do publicznej wiadomości, że Sąd Okręgowy w Warszawie umorzył postępowanie przeciwko bezdomnemu Hubertowi H., który niespełna rok wcześniej, będąc pod wpływem alkoholu, publicznie zwymyślał urzędującego Prezydenta RP. Wszczęte przeciwko bezdomnemu postępowanie karne pod zarzutem znieważenia głowy państwa wzbudziło w polskiej opinii publicznej objawy dość symptomatycznego niepokoju. Dalszy rozwój wydarzeń związanych z tym postępowaniem nie prowadził jednak do złagodzenia tonu licznych komentarzy, przedstawiających działania policji i prokuratury jako realne zagrożenie dla obywatelskiej wolności słowa. Fala krytyki wobec niezrozumiałej nadgorliwości organów władzy rosła, aż w końcu sprawa Huberta H. stała się jednym z wątków publicznej debaty nad kondycją polskiego państwa i prawa. Szczególne nasilenie tej dyskusji nastąpiło po tym, jak w sierpniu 2006 r. Hubert H., z powodu nie stawienia się na rozprawę sądową, stał się celem policyjnego pościgu, przeprowadzonego z rozmachem i w towarzystwie mediów. Dopiero, gdy schwytany przez policję, bezdomny „krytyk" Prezydenta oddany został w ręce sądu, ciąg sensacyjnych zdarzeń dobiegł końca. Sąd postanowił bowiem umorzyć postępowanie, stwierdzając w uzasadnieniu, iż „osoba nietrzeźwa nie mogła realnie znieważyć urzędu Prezydenta RP".

Pomińmy w tym miejscu problemy dogmatyczne, pojawiające się w związku z regulacjami Kodeksu karnego z 6 czerwca 1997 r., dotyczącymi odpowiedzialności za zniesławienie (art. 212 - 215), znieważenie (pomówienie) osoby (art. 216), znieważenie Prezydenta RP (art. 135 § 2) znieważenie funkcjonariusza (art. 226 § 1) czy też znieważenie konstytucyjnego organu RP (art. 226 § 3). Pomińmy również pytanie zasadnicze o to, czy zniewaga urzędu jest w ogóle możliwa tzn. czy jakakolwiek osoba - nawet gdyby była trzeźwa – mogłaby realnie znieważyć bezosobową, abstrakcyjną konstrukcję instytucji? Pozostańmy w granicach udostępnionej nam informacji, zgodnie z którą oskarżony Hubert H. nie był w stanie popełnić takiego czynu dlatego, że był pijany.

Z uwagi na swój cel operacyjny, głośny pościg za nadużywającym alkoholu kloszardem okazał się skuteczny. Akcji tej nie można jednak uznać za udaną, nie tylko dlatego, że okazała się bolesną parodią urzędniczej czujności w walce z przestępczością, połączonej ze szczególną troską o dobre imię głowy państwa. W zgodzie ze stanowiskiem sądu, należałoby raczej stwierdzić, że skierowana przeciwko Hubertowi H., spektakularna akcja organów ścigania była zupełnie bezpodstawna. Czynności podjęte przez policję i prokuraturę opierały się bowiem na niekompletnej i przez to błędnej ocenie stanu faktycznego, który nie składa się z faktów tylko fizycznych. Prawno-karna kwalifikacja danego czynu zależy nie tylko od oceny fizycznej realności zewnętrznego zachowania się przypuszczalnego sprawcy. Istotny na nią wpływ ma również ocena psychicznej realność stanu wewnętrznego, który - zgodnie z sensem greckiego słowa psyche (dusza) – można określić jako stan duchowy (nie cielesny) lub stan ducha (nie ciała). Dopiero na podstawie odpowiedniej oceny tego wewnętrznego stanu faktycznego możliwe jest ustalenie po stronie sprawcy, jego ewentualnej winy, stanowiącej konieczną przesłankę zaistnienia czynu karalnego. W przypadku znieważenia Prezydenta przesłanka ta może mieć oczywiście tylko postać winy umyślnej. Bez uwzględnienia tego elementu, czyjeś zewnętrzne zachowanie się może faktycznie wyglądać jak przestępstwo, nie będąc nim w rzeczywistości. Zdaniem sądu, z tego rodzaju fikcją mieliśmy do czynienia w przypadku Huberta H.. Funkcjonariusze policji popełnili błąd, ograniczając własne pole widzenia do zewnętrznego stanu faktycznego, obejmującego tylko cielesną realność gestów i akustyczną realność słów, nie uwzględniając natomiast realiów stanu wewnętrznego sprawcy. Błąd był tym większy, że Hubert H. zdradzał symptomy nietrzeźwości, na podstawie których można było przypuszczać, iż w chwili dokonywania przez niego zarzucanego mu czynu, obraz jego rzeczywistej woli był istotnie zniekształcony. Dopiero warszawski sąd okręgowy uwzględnił te fakty. Co więcej, uznał je za tak doniosłe, że aż powodujące „nie-realność" zewnętrznego zachowania się oskarżonego w chwili rzekomego popełnienia zarzucanego mu przestępstwa. Tym samym, rzeczywistość sfery psychicznej wyniesiona została wysoko ponad rzeczywistość zjawisk fizycznych, którą kierowały się organy ścigania.

Powyższy przykład wskazuje, jak bardzo niepewne może być pojęcie tego, co rzeczywiste, co naprawdę jest (było lub będzie). Problem ten stanowi jedno z podstawowych zagadnień filozofii teoretycznej, a jego szczegółowym rozważaniem zajmuje się ontologia – pierwsza nauka o tym co istnieje. Z nią wiąże się ściśle epistemologia – nauka o źródłach, granicach i kryteriach prawdziwości ludzkiego poznania. Ustalenia filozofii teoretycznej stają się następnie podstawę ludzkiej aktywności w wielu dziedzinach teorii (poznania) i praktyki (działania). Opierają się na nich zarówno coraz bardziej liczne gałęzie samej filozofii, jak i niezliczone nauki szczegółowe; zarówno ideologie polityczne, jak i wszelkie konstrukcje światopoglądowe. Od wstępnych założeń ontologicznych i epistemologicznych zależeć będzie również sens słowa realizm.

Realizm w ujęciu ontologicznym zakłada niezależne od ludzkiego poznania istnienie określonej rzeczywistości, która sama w sobie pozostaje jednak „otwarta" na poznawczą aktywność człowieka. Jeśli przy tym jako jedyna lub jako pierwotna określona zostanie rzeczywistość materii i zjawisk empirycznych, realizm będzie się łączył z materializmem i pozytywizmem. To pojęcie realizmu zdaje się dziś dominować w powszechnej świadomości, kształtowanej w warunkach dominacji tzw. światopoglądu naukowego, wywodzącego się z filozoficz-

nych założeń tzw. nauk pozytywnych czyli matematyczno-przyrodniczych. Z kolei w systemach zakładających obiektywne (przedmiotowe/rzeczowe/realne) istnienie idei lub pojęć ogólnych, realizm łączy się z ontologicznym idealizmem. Typowe przykłady ontologii idealistycznej odnajdziemy w filozoficznych koncepcjach Platona (427-347 r. p.n.e.), Hegla (1770-1831) bądź innych przedstawicieli tzw. klasycznej filozofii niemieckiej. Koncepcje te tworzą wspólnie nurt, określany jako idealizm obiektywny, co w sensie dosłownym nie odbiegałoby od określenia „idealizm ontologiczny". W swych założeniach podstawowych kierunek ten stanowi przeciwieństwo materializmu i pozytywizmu. Z drugiej strony, dążąc do uzasadnienia „realnego" (rzeczywistego choć nie materialnego) istnienia idei; głosząc specyficzną realności tzw. przedmiotów idealnych i pojęć ogólnych (bytów pomyślanych), ontologiczny idealizm zbliża się do ontologicznego realizmu. Dla Platona idee były wszak równie realne, jak materia dla Demokryta (460-350 r. p.n.e.). Warto przy tym pamiętać, iż platońskie idee, zachowując swą ontologiczną obiektywność (samoistność/odrębność), nie mogą w żaden sposób stać się przedmiotem ludzkiej dyspozycji. Człowiek nie może ich także samodzielnie tworzyć w drodze takich czy innych uzgodnień, umów lub konwencji; może je tylko poznawać, jeśli osiągnie potrzebną do tego sprawność umysłu. Nietrudno zauważyć, iż założenia te mogą powodować daleko idące skutki w zakresie konstruowanych na ich podstawie poglądów politycznych. Absolutyzm idealnych wartości wyklucza np. wolność i demokrację, jeśli jakiś podmiot władzy publicznej dojdzie do przekonania, że wartości te poznał i w sposób powszechnie wiążący określi ich treść.

Realizm w ujęciu epistemologicznym przyjmuje optymistyczne założenie potencjalnie nieograniczonych możliwości poznania przez człowieka zewnętrznej wobec niego (obiektywnej) rzeczywistości. Na stanowisku tym stoi zarówno klasyczny empiryzm, zainteresowany tylko zjawiskami postrzegalnymi zmysłowo, jak i klasyczny racjonalizm, poszukujący wiedzy pewnej w pojęciach „czystego" rozumu. Na gruncie realizmu epistemologicznego dochodzi zatem ponownie do zbliżenia między racjonalistycznie zorientowanym idealizmem i empirycznie zorientowanymi nurtami realizmu ontologicznego. Obydwa kierunki, mimo, iż zasadniczo różnią się w przyjętych przez siebie metodach poznania, to w równym stopniu bezkrytycznie traktują te metody jako wystarczające do poznania pełnej prawdy o rzeczywistości.

Poznawczy optymizm realizmu epistemologicznego odrzucony został przez epistemologiczny idealizm, znany pod nazwą idealizmu subiektywnego. Filozofia ta głosi niemożność (wyczerpującego) poznania istoty rzeczy i zjawisk obiektywnej rzeczywistości zewnętrznej. Idealizm subiektywny próbuje natomiast wykazać, że w procesie poznania decydującą rolę odgrywa wewnętrzna (subiektywna) rzeczywistość ludzkiego umysłu. W dwóch podstawowych odmianach tej filozofii, określanych jako immanentny i transcendentny idealizm subiektywny, używa się jednak różnych pojęć owej subiektywnej rzeczywistości rozumu poznającego. Immanentny idealizm subiektywny, rozwinął się na gruncie filozoficznych koncepcji irlandzkiego i północno-amerykańskiego pedagoga, myśliciela i duchownego George'a Berkeley'a (1685-1753). Twierdząc, że istnienie realizuje się w samym akcie postrzegania, filozofia ta sprowadza całą rzeczywistość do subiektywnych przeżyć rozumu. Epistemologia i ontologia Berkeley'a może zatem stanowić filozoficzną podstawę wspomnianego orzeczenia sądu w sprawie Huberta H.. Zgodnie z nią, jedyna, poznawalna przez człowieka prawda tkwi bowiem w jego własnych, subiektywnych doznaniach. Naprawdę istnieje zaś tylko to, co jest aktualnie postrzegane. A zatem prawdziwa rzeczywistość sprowadza się do realiów stanu wewnętrznego. W odniesieniu do sprawy Huberta H. możemy przypuszczać, że opisywana przez Berkeley'a redukcja postrzegania do sfery subiektywnych przeżyć, nastąpi zwłaszcza w stanie upojenia alkoholowego.

Immanentny idealizm subiektywny odrzucił więc nie tylko obiektywność platońskich idei. Zanegował on również umysłową zdolność człowieka do tworzenia konstrukcji uniwersalnych, niezależnych od indywidualnie zmiennych stanów świadomości. Uniwersalny wymiar ludzkiej rozumności dostrzeżony został natomiast w innym nurcie idealizmu subiektywnego, wyrosłym na gruncie filozofii Immanuela Kanta (1724-1804), określanej jako filozofia krytyczna bądź transcendentna. Również Kant podkreśla ograniczoność ludzkich zdolności poznawczych i niemożność pełnego poznania rzeczy (tzw. rzeczy samej w sobie). Możliwości tej nie daje żadna z metod przyjmowanych bezkrytycznie przez myślicieli stojących na gruncie realizmu epistemologicznego. Samo doświadczenie zmysłowe prowadzi bowiem tylko do wiedzy niepewnej. Z kolei sam rozum nie może być źródłem gotowych prawd. Spostrzeżenia te nie prowadzą jednak filozofa do pełnego zwątpienia. Stojąc na gruncie epistemologicznego idealizmu, Kant pozostawał zarazem - w przeciwieństwie do Berkeley'a - ontologicznym realistą. Nie sprowadzał więc całej rzeczywistości do sfery subiektywnych doznań, uznając obiektywne istnienie świata zewnętrznego wobec poznającego go podmiotu. Niemożność poznania rzeczy samej w sobie nie oznacza wszak niemożności wszelkiego poznania. Chodzi jednak o to, żeby w samym procesie poznawania łączyć metodę empiryczną i aprioryczną, zachowując w stosunku do każdej z nich krytyczny dystans. Rozum nie jest wprawdzie arsenałem gotowych prawd, wyposażony jest jednak w „instrumenty" wielce przydatne w procesie poznania. Chodzi o aprioryczne konstrukcje uniwersalne, z pomocą których porządkowane są nasze wyobrażenia rzeczywistości. Należą do nich np. skonstruowane racjonalnie wymiary czasu i przestrzeni, w których porządkujemy nasze wrażenia zmysłowe. Znajdziemy tu też podstawowe formy ludzkiego myślenia czyli aprioryczne formy tworzenia pojęć, które Kant nazywa kategoriami, oraz aprioryczne formy tworzenia sądów. Wreszcie twórca filozofii krytycznej zwraca uwagę na tzw. „konieczne pojęcia rozumu", które nazywa „ideami" i do których zalicza pojęcie duszy, pojęcie świata oraz pojęcie Boga. „Idee" te są zdaniem Kanta konieczne dla porządkowania na wyższym poziomie racjonalności wytwo-

rzonej przez rozum wielości sądów i pojęć. Widać więc, że na gruncie filozofii krytycznej, rozum, choć nie jest wszechmocny, nie będzie też całkiem bezsilny. Zwłaszcza w sferze ludzkiej praktyki rola rozumu będzie zdecydowanie większa, niż w sferze poznania. Kant przyznaje bowiem rozumowi zdolność do tworzenia uniwersalnych konstrukcji normatywnych takich, jak słynny imperatyw kategoryczny. Stąd kantowska filozofia prawa i moralności jest na wskroś racjonalna, choć nie w tradycyjnym - lecz właśnie w krytycznym sensie tego słowa.

Można się łatwo domyślić, iż, mimo istotnych różnic między wymienionymi nurtami idealizmu, żaden z nich nie ogranicza sfery istnienia do realiów cielesnych, zdeterminowanych kauzalnie. Rzeczywistości zjawisk fizycznych filozofie idealistyczne przeciwstawiają nie-fizyczną i nie-materialną rzeczywistość idei, rzeczywistość pojęć bądź rzeczywistość zjawisk psychicznych. Odpowiedzią na - uzasadniany np. przez Platona - tzw. skrajny realizm pojęć stał się z kolei tzw. skrajny realizm rzeczy i zjawisk fizycznych. Ujmuje on naturę w postaci wyłącznie cielesnej, zupełnie podległej prawom mechaniki. Takie pojęcie rzeczywistości spotykamy w tzw. materializmie mechanistycznym, reprezentowanym m.in. przez Epikura (341-270 p.n.e.) i Thomasa Hobbesa (1588-1679). Tzw. materializm dialektyczny czyli marksizm odbiega już od czysto fizycznego postrzeganie świata. Marksizm nie przeczy bowiem istnieniu duchowej sfery ludzkiej psychiki, odmiennej od biologicznej istoty człowieka. Filozofia ta zauważa jedynie, iż duch (forma, nadbudowa) jest wtórny i zależny od ciała i sił przyrody (materii, bazy). Ma zatem rację Kazimierz Ajdukiewicz (1890-1963), gdy twierdzi, iż realizm Karola Marxa (1818-1883) nie różni się zasadniczo od realizmu Arystotelesa (384-322 p.n.e.), od którego wywodzimy pojęciowe rozróżnienie materii i formy.

W filozofii społecznej Marksa prawo – w tym również prawna konstrukcja państwa – stanowi w całości element nadbudowy, będąc zarazem w miarę konkretnym narzędziem realizacji interesów tzw. klasy panującej. Niezależnie jednak od swej zawartości duchowej, tkwiącej w normach i rozwijanej w umysłach, prawo objawia się również w postaci fizycznej. Sam przepis, nie wiedzieć dlaczego tak uporczywie nazywany zapisem, ucieleśnia się również jako napis. Fizyczna jest siła strzegąca autorytetu państwa i prawa, fizyczne są akty woli, niezbędne w sferze prawa i polityki. Zjawiskowy charakter mają faktyczne stosunki międzyludzkie, w których socjolog poszukuje „prawdziwej" rzeczywistości prawa. Fizyczne są wreszcie prawne emocje, stanowiące dla psychologa właściwe źródło prawdy o prawie.

Tak dalece złożona rzeczywistość prawa wydaje się w sensie dosłownym „faktycznie fikcyjna". Nie chodzi przy tym tylko o oczywistą fikcyjność prawnych domniemań czyli nie koniecznie zgodnych z prawdą założeń, które norma prawna każe przyjąć za prawdziwe, jak np. domniemanie niewinności, wynikające z nakazu sformułowanego w art. 42 ust. 3 Konstytucji RP z 1997 r. Jeśli - za Antonim Podsiadem - fikcję określimy jako coś, wytworzonego tylko przez umysł, to każda norma tylko pomyślana pozostanie fikcyjna, dopóki nie znajdzie urzeczywistnienia w praktyce życia społecznego. Jeśli tego rodzaju fikcyjność normy jest długotrwała, prowadzi ją to zwykle do utraty mocy wiążącej w trybie tzw. desuetudo. W polu obserwacji socjologicznej, zainteresowanej bardziej faktycznym przestrzeganiem, niż normatywnym obowiązywaniem prawa, normy tego typu nie istnieją, stanowią raczej fikcję samych siebie. W perspektywie empirycznej dostrzegalne są bowiem tylko normy realizowane. Przeciwne stanowisko zajmuje normatywizm Hansa Kelsena (1881-1973), który dąży do abstrakcyjnego ujęcia prawa, a w szczególności do logicznego uzasadnienia mocy wiążącej prawa.

Z jeszcze innym spojrzeniem spotykamy się u tych filozofów, dla których prawo tworzy trzeci rodzaj rzeczywistości, quasi-rzeczywistość, świat trzeci lub po prostu świat kultury. Do tej grupy myślicieli należeli np.: przedstawiciel neokantyzmu heidelberskiego - Gustav Radbruch (1878-1949), fenomenolog - Roman Ingarden (1893-1970) oraz krytyczny realista - Karl Popper (1902-1994). W ich ujęciu, rzeczywistość prawa nie ogranicza się do stanu fizycznego, poznawalnego w tzw. doświadczeniu zewnętrznym, i stanu psychicznego, poznawalnego w tzw. doświadczeniu wewnętrznym lecz obejmuje również poznawalny w doświadczeniu zewnętrznym stan nie-fizyczny. Ingarden określa ten stan jako duchową rzeczywistość świata kultury. Prawo w tym ujęciu, będąc tworem kultury, pozostaje oczywiście dziełem człowieka. Zatem, nie będzie ono określane jako byt autonomiczny bądź samoistny *(ens per se)*. Konstruowane na gruncie tych przesłanek pojęcie prawa będzie zatem dalekie od pojęcia rzeczy, bliskie zaś pojęciu właściwość rzeczy *(ens in alio)*. Jednostki ludzkie, indywidua (entia per se) lub ich zbiorowości (np. państwo) mogą być prawe lub nieprawe, prawo natomiast nie może być ludzkie bądź nieludzkie. Jeśli miałoby się stać nieludzkie, to przestałoby być prawem, stając się - jak mówi Radbruch - ustawowym bezprawiem czyli fikcją prawa. Zawarte w nim nakazy i zakazy mogłyby tylko wyrażać prawdziwą wolę fikcyjnego prawodawcy, i w tej prostej funkcji informacyjnej wyczerpywałaby się ich własna prawdziwość. W istocie rozkazy te pozostałyby jedną wielką fikcją, która przyjmuje postać kwalifikowaną czyli postać kłamstwa, mistyfikacji, propagandowej projekcji rzeczywistości, która miałaby służyć sprawiedliwości, lecz której faktycznie nie ma. Z drugiej strony odnajdujemy w prawie szereg konstrukcji fikcyjnych, bez których nie do pomyślenia byłyby np. realne osiągnięcia cywilizacyjne tzw. społeczeństw wysoko rozwiniętych. Nie jest chyba przypadkiem, że do społeczeństw tych zaliczają się w pierwszym rzędzie narody o wysoko rozwiniętej kulturze prawnej. Burzliwa historia Europy i Świata minionych dwóch stuleci zdaje się być najlepszym dowodem niezwykłej siły sprawczej fikcyjnych konstrukcji ideowych i normatywnych. Konkluzją niech będą słowa Radbrucha:

„Idee nie staczają w chmurach jeszcze raz walki interesów, jak walkirie ponad pobojowiskiem, raczej jak Homeryccy bogowie, zstępują na pole bitwy i walczą u boku innych sił, same stanowiąc siłę." [ ]

Dr Daniel Bogacz
Katedra Prawa Rzymskiego i Historii Doktryn Polityczno-Prawnych WPiA US

dr Iwona Wierzchowiecka,
Katedra Historii Prawa,
Wydział Prawa i Administracji US

Spór o model edukacji prawniczej

Dyskusja na temat miejsca nauk historyczno-prawnych wśród nauk prawnych implikuje także pytanie o model akademickiej edukacji prawników. Aktualnie studia prawnicze prowadzone są na czternastu uniwersytetach i w kilku szkołach niepublicznych. W ciągu ostatnich lat wskaźnik scholaryzacji z kilkunastu procent wzrósł do przeszło 40%. Tak gwałtowny rozwój szkolnictwa wyższego, siłą rzeczy wymykający się czasem spod kontroli, wiąże się z ryzykiem obniżenia poziomu kształcenia. W środowisku nauki pojawiły się głosy krytykujące żywiołową komercjalizację edukacji prawniczej, a także ideę egalitaryzacji szkół. Przeciwnicy tego poglądu oponują przeciwko próbie zamykania uczelni niepaństwowych w swoistym getcie, wskazując na realizowanie, w przeciwieństwie do wielu uniwersytetów, programu nauczania opartego na szerokiej podstawie humanistycznej. Na jakość kształcenia składa się wiele elementów. Jednym z nich jest właśnie program nauczania, który od kilkunastu lat budzi w środowisku żywe emocje.

Problematyczną kwestią jest wybór modelu nauczania. Ogólne założenia modelu humanistycznego opierają się na uznaniu, że uniwersytet jest instytucją kultury wysokiej, którego rolą jest kształtowanie ogólnej formacji intelektualnej. Zatem program nauczania w tym modelu obejmuje, obok przedmiotów dogmatycznych, liczne wykłady z zakresu nauk humanistycznych, takich jak: nauki historyczno-prawne, w tym także prawo rzymskie, a także filozofia, etyka, socjologia, psychologia, politologia i inne.

Drugi model, zwany pragmatycznym, nastawiony jest na kształcenie zawodowe i z tego powodu promuje przedmioty dogmatyczne, jednocześnie marginalizując wykłady z dziedzin humanistycznych i ogólnoteoretycznych.

Znamienne, że spór o model edukacji prawniczej ma długą tradycję, sięgającą co najmniej czasów Odrodzenia, gdy konkurowały ze sobą włoski i francuski „sposób wykładu". Na przestrzeni stuleci do czasów współczesnych dyskurs zawsze się nasilał w okresach przełomów intelektualnych, rewolucji społeczno-politycznych i ustrojowych. Spierano się o wizję funkcji edukacji prawniczej wobec nowych wyzwań, z reguły postulując odcięcie się od dziedzictwa kultury prawnej okresu poprzedzającego przełom. Z reguły wierzono, że można zbudować nowy porządek prawny ex nihilo, do konstrukcji którego wystarczy „jedynie słuszna" świadomość rewolucyjna, poczucie dziejowej sprawiedliwości, kierowanie się rozsądkiem oraz bezwzględnymi i naturalnymi wartościami, będącymi wyrazem poszukiwania ideałów o walorze absolutnym.

Zasięg „włoskiego sposobu wykładu" pokrywał się z zasięgiem oficjalnej recepcji prawa rzymskiego, a więc zasięgiem władzy cesarzy Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Traktował on wiedzę historyczną w sposób instrumentalny, korzystając z niej tylko w takim zakresie, w jakim służyła potrzebom praktyki i politycznym ambicjom panujących. Skutkiem było zahamowanie rozwoju prawa rodzimego.

Model humanistyczny, będący w opozycji do powyższego, pragmatycznego, powstał na uniwersytetach francuskich i stąd przyjęło się określenie – „francuski sposób wykładu". Postulował on oparcie nauczania na solidnych podstawach wiedzy historycznej, filozoficznej i filologicznej. Rozwijał się na gruncie humanizmu prawniczego i był reakcją przeciwko pojmowaniu prawa rzymskiego w duchu włoskim i przeciwko metodom badań glosatorów i komentatorów. Zasługą francuskich humanistów było upowszechnienie własnego sposobu wykładu, polegającego na systematycznym wykładzie przedmiotów. Pogłębili w ten sposób znajomość źródeł prawa rzymskiego i przeprowadzili ich krytyczną analizę. Postulując stworzenie własnej, rodzimej kodyfikacji, stali się prekursorami przyszłego programu kodyfikacyjnego, opartego na filozofii prawa natury.

W XVIII wieku pojawiły się nowe wizje nauczania i funkcji uniwersytetów. Zdecydowanie odrzucano historyzm, który kojarzono, mniej lub bardziej słusznie, z recepcją prawa rzymskiego. Tryumfy święciły wykłady filozofii prawa natury, które w dobie kodyfikacji prawa zostaną także odrzucone. Filozofia, ongiś stanowiąca filar argumentacji ideologicznej do walki ze strukturami prawnymi starego porządku, po uchwaleniu kodeksów, stała się zagrożeniem dla podstaw legalizmu. Stwarzała bowiem warunki do arbitralności orzeczeń sędziego. Tymczasem kodeksy miały być zupełne i kompletne, tłumaczone same z siebie – a więc nie było, zdaniem redaktorów, potrzeby sięgania do pozaustawowych źródeł interpretacji. W Europie Zachodniej uniwersytety „kostniały", ale obok nich powstawały prywatne szkoły, gdzie uczono podstaw historyczno-filozoficznych jurysprudencji.

Po uchwaleniu kodeksu cywilnego w 1804 r. Napoleon zreformował studia prawnicze i powołał pań-

stwową szkołę prawa, która miała charakter czysto zawodowy. Podstawą studiów była praktyczna znajomość prawa stanowionego. Dla porównania, Szkoła Prawa Księstwa Warszawskiego, formalnie wzorowana na modelu napoleońskim, praktycznie realizowała humanistyczny model, obejmujący wykłady z historii i filozofii. Model pragmatyczny realizowano także w Austrii, po uchwalaniu kodeksu w 1811 r. Z założenia odrzucono możliwość interpretacji historycznej przepisów kodeksowych. Konsekwentnie więc usunięto z programów studiów wykłady prawa niemieckiego, rzymskiego oraz kanonicznego i zastąpiono je wykładami prawa skodyfikowanego, uzupełnionymi przedmiotami kameralistycznymi. Reforma austriacka, podobnie jak francuska, miała na celu uczenie jedynie tych przedmiotów, które uznano za przydatne do praktyki przyszłych funkcjonariuszy państwowych i sędziów. Jej skutkiem była izolacja nauki austriackiej wobec innych krajów Europy. Stosowana w cywilistyce metoda egzegezy przyczyniła się do upadku poziomu naukowego tej dyscypliny, a w krótkim czasie zapanował w Austrii bezkrytyczny kult przepisów. Dopiero w połowie XIX wieku pojawiły się postulaty zmiany modelu nauczania i dopasowania go do modelu pruskiego. W wyniku przeprowadzonej reformy przejęto dorobek niemieckiej szkoły historycznej i w jej duchu rozwijano naukę prawa austriackiego.

Niemiecka szkoła historyczna 1. połowy XIX w. powstała w opozycji do szkoły prawa natury, a także racjonalizmu i działalności kodyfikacyjnej, postulowanej przez ideologów Oświecenia. Antyliberalny i reakcyjny program był skierowany przeciwko reformom prawa. Paradoksalnie jednak przyczynił się on do rozwoju myśli prawniczej. Zwrócono bowiem uwagę na powiązanie prawa z procesem dziejowym oraz na fakt, że prawo jest przejawem i produktem historycznego rozwoju – jest jej organicznym wytworem.

Z powyższego wynika, że w każdym czasie dziejowym pojawiają się nowe wyzwania. W obliczu coraz szybszych zmian w otaczającym nas środowisku, prawnik nie może zatem uczyć się na pamięć przepisów prawa. Natomiast powinien znać zasady prawa i mechanizmy jego funkcjonowania oraz opanować metody rozumowania prawniczego. Zaś nauki humanistyczne, w tym historyczne składają się na intelektualizację nauczania, dzięki której absolwenci będą się cechować umiejętnością dostrzegania zjawisk prawnych w całym kulturowym kontekście, większą świadomością i odpowiedzialnością wykonywania zawodu zaufania publicznego, a także kreatywnością, interdyscyplinarnością, samodzielnością i obywatelskością. [ ]

Powstające w czasie II wojny światowej obozy zbiorowego zakwaterowania (Gemeinschaftslager) służyły do koszarowania robotników przymusowych, zatrudnianych przede wszystkim w zakładach produkujących na potrzeby niemieckiego przemysłu wojennego. Najczęściej obok określenia „Gemeinschaftslager" pojawiała się nazwa firmy, na potrzeby której pracowali zatrudnieni tam robotnicy. Początkowo, póki warunki lokalowe na to pozwalały, obozy te miały charakter narodowościowy (np. Polenlager, Franzosenlager, Ostarbeiterlager).

Pomorze było jedną z pierwszych prowincji, w której przystąpiono do organizacji obozów. Szczecin jednak nie był przygotowany na przyjęcie kilkudziesięciu tysięcy ludzi, a już pod koniec 1940 r. w mieście pracowało przymusowo ok. 25 tys. robotników. Z konieczności do kwaterunku wykorzystywano zatem pomieszczenia zastępcze, takie jak hale fabryczne, obiekty kulturalne, piwnice, strychy, a nawet mieszkania prywatne.

Rozdzielaniem siły roboczej zajmował się Pomorski Urząd Pracy oraz Komisarz Obrony Rzeszy na Okręg II. Nad całością akcji czuwał z ramienia NSDAP specjalny pełnomocnik do spraw obozów na terenie Pomorza SA-Hauptsturmführer Lange (1940) i SA-Oberführer Härtel (1940-1941).

Zbiorowy kwaterunek stanowił poważny problem dla władz hitlerowskich. Teoretycznie bowiem każdy wykorzystywany doń obiekt powinien spełniać określone przepisy w zakresie higieny, żywienia, bezpieczeństwa i nadzoru policyjnego. Opiekę nad nimi powierzano z ramienia Niemieckiego Frontu Pracy (DAF) osobom prywatnym.

Jeden z obozów przeznaczonych dla robotników polskich („Polenlager") został zorganizowany we wrześniu 1939 r. przy Pommerensdorferstraße 18 (obecna ul. Chmielewskiego) na terenie Cap Chéri (z francuskiego: przyjazny ląd), miejscu znanym niegdyś z działalności gastronomiczno-rozrywkowej (funkcjonował tam teatr, restauracja, ogród, kręgielnia, a od 1899 r. także mały zwierzyniec, stąd późniejsza nazwa obiegowa – Stettiner Tiergarten). Od 28 kwietnia 1941 r. obóz nosił nazwę Gemeinschaftslager „Tiergarten". Na jego potrzeby zaadaptowano salę widowiskową, niegdyś należącą do Tiergarten Walhalla-Theater, którą wyposażono w prycze. Sala była przystosowana do przyjęcia około 250 osób, przebywało tam jednak aż 430 osób.

Osobą zarządzającą był szczeciński spedytor Siegfried Behnke, którego biura znajdowały się na I piętrze staromiejskiej kamienicy przy Schützengartenstraße 3 (obecna ul. Podwale). Porządku pilnował robotnik polskiego pochodzenia Jan Plieschke. Od października 1940 r. funkcję nadzorcy pełnił także Willi Matzke, będący jednocześnie obozowym kucharzem. Behnke zarządzał również obozem znajdującym się przy Haydnstraße 5 (obecnie ul. Janosika).

Obóz „Tiergarten”

Wyznaczeni przez Niemiecki Front Pracy opiekunowie obozów z reguły nie wywiązywali się ze swoich obowiązków.

Siegfried Behnke dopuszczał się wielu nadużyć, m.in. pobierał od przebywających w obozie Polaków niedozwolone opłaty czy nie respektował i tak bardzo niskich norm żywieniowych. Przyniosło mu to w krótkim czasie zysk w wysokości 60 tys. marek. Liczne skargi tak robotników, jak i firm w których byli zatrudnieni robotnicy, doprowadziły do kontroli, w wyniku której za brak faktycznego nadzoru, powtarzające się konflikty z właścicielami okolicznych posesji oraz skandaliczne warunki sanitarne panujące w „Tiergarten” Siegfried Behnke został pozbawiony stanowiska w grudniu 1940 r. i aresztowany. Okazało się, że już wcześniej Behnke znany był szczecińskiej policji jako dopuszczający się licznych nadużyć w swojej firmie oszust. Zastąpił go urodzony w Bydgoszczy Johannes Ortovius.

Kontrole przeprowadzone przez niemiecki Wydział Zdrowia również w innych obozach, wykazały znaczne niedociągnięcia i zaniedbania, wiele z nich zostało zamkniętych, a zakwaterowanych tam robotników przeniesiono do innych placówek.

Sprawa obozu „Tiergarten” stała się także podstawą do reorganizacji służb odpowiedzialnych za obozy pracy przymusowej. Opiekę nad tym i innymi obozami ze strony NSDAP z dniem 23 stycznia 1941 r. przejął SA Brigadeführer Zähle. Również DAF powołał specjalny wydział zajmujący się sprawami obozów dla cudzoziemców.

W lutym Zähle otrzymał polecenie likwidacji małych, a utworzenia dużych obozów zbiorowego zakwaterowania, co służyć miało usprawnieniu ich organizacji oraz polepszeniu warunków bytowych. Robotników jednak stale przybywało, co zmuszało władze hitlerowskie do przydzielania obcokrajowcom kwater prywatnych.

W listopadzie 1942 r. prezydent policji szczecińskiej wydał zarządzenie nakazujące umieszczanie cudzoziemców wyłącznie w obozach zbiorowego zakwaterowania. „Tiergarten” stał się jednym z sześciu takich obozów (w praktyce działało ich kilkadziesiąt, ale oficjalnie nie mogły przyjmować nowych ludzi) i w niezmienionej formie przetrwał do 1945 r. Z policyjnych meldunków pochodzących z kwietnia 1945 r. wynika, że ewakuację obozów dla cudzoziemców zakończono pod koniec marca. Odłożono w czasie jedynie ewakuację policki obozów karnych.

***

Na początku lat osiemdziesiątych XX w. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Szczecinie prowadziła postępowanie wyjaśniające w sprawie powieszenia na terenie obozu dwóch nieznanych Polaków. Ich zwłoki miał widzieć przesłuchiwany w tej sprawie świadek – Bernard Marcinkowski, mieszkaniec Niekłonic w gminie Świeszno (ówczesne województwo koszalińskie). Mimo poszukiwań m.in. w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Szczecinie czy w Wydziale Dokumentacji Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, nie udało się znaleźć materiałów nieznanych wcześniej Komisji Okręgowej. Również zaangażowanie funkcjonariuszy Komisariatu III Milicji Obywatelskiej w Szczecinie nie zaowocowało odnalezieniem świadków wspomnianej zbrodni. Nie znaleziono nikogo, kto w czasie wojny przebywał na Pomorzanach, a mieszkańcy dzielnicy w ogóle nie wiedzieli o istnieniu obozu „Tiergarten”.

Po latach wiedza o wojennej historii tej części Szczecina ma szanse na upowszechnienie. W pobliżu miejsca dawnego obozu, przy ul. Smolańskiej 10a, znajduje się kilkukondygnacyjny żelbetowy bunkier o grubości murów 2,5 m. Rada Osiedla Pomorzany podjęła starania o wpisanie go na listę obiektów i miejsc pamięci narodowej. W lipcu 2006 r. skierowała list do Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Szczecinie, w którym czytamy m.in.: *Mieszkańcy żądają od nas, by bunkier, będąc reliktem wojennych działań niemieckich, świadectwem – przestrogą dla potomnych, służył jako lekcja historii, którą my Polacy przeżyliśmy.*

W sąsiedztwie bunkra podjęto się budowy pomnika w formie obelisku, który upamiętniać ma więźniów niemieckich obozów pracy przymusowej znajdujących się na Pomorzanach. *Chcemy, żeby bunkier był symbolem naszej dzielnicy* – mówi Bogumił Czapla, zastępca Przewodniczącego Rady Osiedla Pomorzany. [ ]

Paweł Knap
IPN OBEP Szczecin

Nowość!

LexisNexis®
Serwis Prawno-Gospodarczy

- zadbaj o bezpieczeństwo Twojej kancelarii!
- sprawdź swojego kontrahenta!
- wyklucz konflikt interesów między klientami!
- sprawdź dane o firmie z dowolnego okresu!

Aktualne, wiarygodne informacje na temat rynku, konkurencji i osób działających w obrocie gospodarczym

Dostęp dla Czytelników In Gremio (w dniach 5-19.02.2007)

www.spg.lexisnexis.pl

login: in_gremio, hasło: lexisnexis

Infolinia: 022-572-99-99

LexisNexis®